

WŁADYSŁAW ZDANOWICZ

MISJONARZIE Z DYWANOWA

POLSKI SZWEJK NA MISJI W IRAKU

CZĘŚĆ II
JONASZ



KSIĘGARNIA
ZDANOWICZ



Władysław Zdanowicz

**Misjonarze
z Dywanowa
czyli
Polski Szwejk na misji w Iraku**

Stronic kilka z dziejów plutonu rotacyjno-dyspozycyjnego, z ogólnym zastrzeżeniem, że wszystkie opisane tu osoby oraz wydarzenia miały tak naprawdę niewiele wspólnego z rzeczywistością. Ta była o wiele, wiele gorsza.

ISBN 978-83-63850-00-5

© Copyright by Władysław Zdanowicz

**Tom drugi
Jonasz**

Rozdział pierwszy.

Zgodnie z przykazaniem szeregowy Leńczyk nie wsadzał nosa w nieswoje sprawy i nie próbował robić porządku w kontenerze-sypialni, w którym miał teraz mieszkać. Po prawdzie nie widział takiej potrzeby. W środku nie było aż tak źle, żeby od razu brać się za sprzątanie. Wystarczyło przesunąć kilka par skarpet i innej odzieży z podłogi pod łóżko, otworzyć okno, żeby odpowiednio wywietrzyć pomieszczenie – i od biedy można było mieszkać. Służąc w wojsku przestał być tak wrażliwy na męskie zapachy, jak kiedyś. Poczuł się niemal jak u siebie w domu. Mógłby nawet zasnąć, choć nie czuł takiej potrzeby, bo swoje już odespał w szpitalu. Musiał się czymś zająć, a pranie wydawało mu się czynnością, która pozwoli mu nie myśleć o przyszłości.

Po dziesięciu minutach stwierdził, że był jednak zbytnim optymistą. Zdążył wyciągnąć z różnych dziwnych miejsc około trzydziestu starych i raczej niepamiętających wody skarpet, z których nie umiał złożyć par. Najwyraźniej ich właściciel lub właściciele (były różnych rozmiarów) zgodnie z wojskową filozofią dobierali do siebie najmniej zabrudzone, inne zostawiając w kupce pod łóżkiem, żeby zająć się nimi w wolnym czasie. Sądząc po zapachu jaki dał się poczuć, tego czasu zawsze brakowało.

Na swoje nieszczęście pamiętał zasadę, jaką wpajano w niego podczas podstawowego szkolenia w wojsku: „Jeśli chcesz, aby koń i żołnierz funkcjonowali jak najdłużej, musisz zadbać przede wszystkim o ich kopyta”. W ciągu godziny, bo tyle mniej więcej spędził na przepierce, wymieniając pięć razy wodę w misce i wieszając uprane rzeczy, stwierdził, że zrobił wszystko, co mógł. Po czym zamiótł jeszcze podłogę, aby można było spokojnie przejść. Wreszcie stwierdził, że pora odpocząć, bo wszystko zostało w miarę ogarnięte, więc rozparł się na jednym z łóżek i przeleżał tak z kwadrans, zastanawiając się, jak zareagują jego nowi koledzy, gdy

wejdą i zobaczą, że nie siedzi jak jakiś wygodnicki głupek, tylko wziął się od razu za porządkę. Po kolejnej godzinie miał dość samotności i wyszedł na zewnątrz, aby rozejrzeć się po najbliższej okolicy. Tuż za drzwiami natknął się na wartownika, który siedział nieporuszony na swoim fotelu, jakby to było jego najważniejsze zajęcie.

Leńczyk zauważył jednak jego czujne spojrzenie, jakim go obrzucił. Od razu też doszedł do wniosku, że sprawdzał go czy zgodnie z rozkazem szeregowy ma na sobie kamizelkę, włożył hełm na głowę i trzyma broń. Zapewne, gdyby było inaczej, zwróciłby mu uwagę, ale w tej chwili nie miał się do czego przyczepić.

– Długo tu siedzisz? – Leńczyk wytrzymał pięć minut w milczeniu. Miał trudności w zbyt długim zachowaniu ciszy.

– Niemnożko... – tamten nawet na niego nie spojrzał, wpatrując się w przestrzeń.

– A... może chcesz pić? – zaproponował nieoczekiwanie szeregowy.

Azjata spojrzał na niego z zaciekawieniem i skinął głową.

– A czaj ty imiejesz? – spytał z nadzieją w głosie.

– Jak się poszuka, to się znajdzie... – zapewnił Leńczyk, podrywając się z miejsca i znikając w środku. Chwilę trwało, nim na półce znalazł paczkę z herbatą i włączył wodę w czajniku. Przygotował czystą szklanę, chwając się w duchu, że wcześniej ją umył i postawił przy niej puszkę z herbatą i cukier. Skontrolował spojrzeniem, jak to się prezentuje i po chwili namysłu wyszedł na zewnątrz. Usiadł obok fotela i wskazał dłonią za siebie.

– Idź i zrób sobie taką, jaką lubisz. Teraz ja popilnuję.

– Szto? – zdziwił się Azjata, patrząc na niego. – Szto ty gawarił?

– Idi sam – Leńczyk ponownie wskazał dłonią w stronę kontenera. – Zrób sobie czaj, jaki lubisz... kak lubisz... luboj...

Starał sobie przypomnieć słowa, które kiedyś wkuwał w szkole. Może gdyby nie było wtedy przymusu, sam by się czegoś nauczył, a tak, wszyscy wiedzą, że z niewolnika nie ma dobrego pracownika. Owszem, swoje zrobi, ale bardziej na zasadzie „Chcecie – proszę bardzo, zrobię, czego ode mnie wymagacie i dajcie mi spokój”. Choć teraz żałował, że nie przykładał się wtedy do nauki języka... I pomyślał nie tylko o rosyjskim, teraz angielski także by mu się przydał. Ale póki co, musiał dogadać się po rosyjsku.

– A, luboj czaj? – upewnił się Azjata, wstając z miejsca i nie czekając na jego ponaglenia, zniknął w środku. Po dwóch minutach pojawił się na tarasie, trzymając dwie szklanki z płynem, który podobno był herbatą, choć z koloru bardziej przypominał czarną esencję. Nie było w tym nic dziwnego, bo Leńczyk szybko zauważył, że Azjata wsypał do szklanek tyle liści herbacianych, że sięgały prawie dwóch trzecich wysokości naczynia. I tak miał szczęście, że wszystko zostało jednak zalane wrzątkiem, o czym świadczyła smużka pary unosząca się nad krawędzią szklanek. To nie był mądry pomysł, pozwolić Azjacie na własnoręczne zrobienie picia. Jak nic, wykorzystał całą zawartość pojemnika, w którym była przechowywana i pozostali mieszkańcy kontenera mogą mieć do Leńczyka pretensje, że pozwolił na takie marnotrawstwo.

Ponieważ jednak już to nastąpiło, nie widział powodu aby teraz się tym przejmować. Zastanawiał się tylko czy zdoła ją wypić, bo do tej pory był zwolennikiem płynu słomkowej barwy, a płyn w szklance był wręcz czarny. Wiedział, że jeśli nie chce aby nowy przyjaciel się na niego obraził, nie wypada mu odmawiać, bo tamten zrobił to z serca. Przyjął z głębokim westchnieniem szklankę, przez długą chwilę podziwiał jej barwę oraz intensywny zapach, obserwując jak jego nowy kolega z wyraźnym zadowoleniem i rozkoszą sący powoli gorący napój.

– Niet choroszaja? – zdziwił się Azjata, dostrzegając, jak szeregowy krzywi się po pierwszym łyku.

– Niet, nie – zaprzeczył. – Mocna... kriepekaja... – przypomniał sobie odpowiednie słowo. – Ja nie zwyczajny pić taki kriepekij czaj.

– Kriepekij czaj eto dobry czaj... wyzdorowiet – wyjaśnił z powagą Mongoł. – Słaboj czaj, to... – zawahał się, po czym z determinacją stwierdził: – Gawnyj czaj. Żal czaju... – rozłożył bezradnie dłonie.

– Gówniany czaj – podpowiedział mu Leńczyk, biorąc drugi łyk i podziwiając Mongoła, który prawie wyssał pozostałości esencji ze swojej szklanki i cały czas wyglądał na zadowolonego. – Do dupy...

– Ot, do dupy... – powtórzył z przejęciem Mongoł, odstawiając szklankę na stolik obok i przyglądając mu się z powagą. – Ja Uzaji Bator... – wskazał na siebie dłonią. – Ja gawari niemnożko pa ruski, ale ja nie kacap, ja Mongoł.

– Wiem... – wyciągnął dłoń i uściśnął mu w miarę silnie, ale na tamtym nie zrobiło to większego wrażenia niż lądowanie komara na jego karku. – Piotr Leńczyk...

– Darujsia, Len cyk. Ty uże Rover. – Mongoł wiedział swoje i nie miał zamiaru z tego rezygnować. – Ty dobryj czieławiek, i Gecco dobryj cziełowiek. Palaki to dobre czieławieki. Kacapy niet... – zakończył z nagłą determinacją.

– Uzaji, to nie tak – Leńczyk miał swoją teorię i nie miał zamiaru z niej zrezygnować. – Ty nie gadaj głupot. Kacap to też czieławiek, u nich tożę dobryje i złe czieławieki. To normalnyj, ty nie patrz na nacionalnosti, ty smotri kakim on czieławiek. Tolko to szczitatsia.

Mongoł przez długą chwilę patrzył na niego ze zdziwieniem, próbując sobie wszystko ułożyć w głowie, po czym uśmiechnął się jakby z przymusu i machnął dłonią z pewnym lekceważeniem.

– Ty dobryj cziełowiek, ale słabyj, Rover. Smotrisz sercem, a eto oszibka. Wrag eto wrag, niet cziełowiek.

– A co ty tu robisz? – Leńczyk postanowił zmienić temat rozmowy i wydawało mu się logiczne, że następne pytanie powinno brzmieć: – Ktoś ci kazał to pilnować? Pilnowatsja?

– Da, Gecco. On dogoworitsia z naszym komandirem. Sto dolarow i my poinowatsia całej miesiąc. Eto charaszaja umowa... A eto szto za durak? – Mongoł dostrzegł zbliżający się do nich samochód. – Eto nie nasz? A wasz?

– Nie wiem, póki co nikogo tu jeszcze nie znam – zapewnił go Leńczyk.

Chwilę później przed kontenerem zatrzymał się HMMWV żandarmerii, z którego wysiadł chorąży P_E. Mongoł od razu spoważniał i na wszelki wypadek sięgnął po broń, którą na czas delektowania się czajem odstawił obok swojego fotela. Teraz wziął ją do ręki i nie kryjąc tego sprawdził, czy jest zabezpieczona, co nie uszło uwagi P_E. Zapewne nie była to jego pierwsza wizyta i wiedział, czego się może spodziewać, bo nie podszedł do tarasu, tylko skinął dłonią w jego kierunku.

– Szeregowy Leńczyk, możecie tu podejść? – zawołał.

– Jeśli koniecznie muszę, panie chorąży – odpowiedział bez entuzjazmu szeregowy, wstając ociężale.

– Podszedłbym sam, ale sędzę, że nie wyszłoby mi to na zdrowie – odpowiedział P_E z wymownym naciskiem, patrząc przy tym ostentacyjnie na Mongoła siedzącego w fotelu. Jak można się było spodziewać, tamten uśmiechał się do niego, odsłaniając całe uzębienie. – Wolę nie ryzykować konfrontacji i zaostrenia stosunków między sojusznikami – grymas na twarzy chorążego świadczył, że nie jest zadowolony, ale dobrze rozumiał, że w tej chwili nie może sobie na nic innego pozwolić.

– W czym mogę panu pomóc, panie chorąży – stanął przed nim, ale pamiętając, że teraz jest na swoim terenie i wizyta ma charakter raczej prywatny, postanowił nie salutować. Zresztą hełm na głowie i kamizelka dość skutecznie łagodziły chęć przypodobania się P_E.

– Widzę, że się zaprzyjaźniłeś z wnukiem Dżyngis Chana... – stwierdził P_E odchodząc kilka kroków od samochodu. Nie wyglądało na to, że obawia się, że ktoś mógłby podsłuchać ich rozmowę, może po prostu stwierdził, że szeregowy będzie się czuł bardziej swobodnie, gdy odejdą dalej od Mongoła. – Wpuścił cię bez kłopotów?

– Tak dobrze nie było – Leńczyk parsknął cichym śmiechem, przypominając sobie początki znajomości. – Okazało się, że jestem na liście uprawnionych do wejścia, choć pod zupełnie inną ksywką niż myślałem. A pan jest uprawniony? – spytał z przekorą w głosie, choć z góry znał odpowiedź.

– Jestem chyba pierwszy na liście, ale na tej drugiej, przeznaczonych do odstrzału – zapewnił z powagą P_E, uśmiechając się szeroko. – Oczywiście nie wiem, jakim cudem zająłem to zaszczytne miejsce i kto o tym zdecydował, a prawdę mówiąc wolę zbytnio nie dociekać, jaki jest tego powód. Byłem za to u dowódcy Dżyngis Chana, aby wyjaśnić, co i dlaczego robi tu jego człowiek. Dowiedziałem się tylko, że jego żołnierz ma akurat wolne i siedzi tutaj po koleżeńsku. Nic, kurna, nie mogę z tego zrozumieć.

– A może nie warto? – odpowiedział.

– No wiecie, szeregowy... – grymas na twarzy P_E informował, że nie takiej spodziewał się odpowiedzi. – Dla mnie, jako szefa MP, to dziwna sytuacja, że na moim terenie siedzi żołnierz innej narodowości i dba o to, aby nikt niepowołany nie wszedł do kontenera zajmowanego przez naszych żołnierzy. To raczej nienormalna sytuacja, nie uważasz? Zastanawiam się właśnie czego i z jakiego powodu tak pilnuje?

– Może nie chcą, aby ktoś niepowołany zobaczył bałagan, w jakim mieszkają – odpowiedział domyślnie szeregowy Leńczyk, zerkając spod hełmu na Mongoła, który sprawiał wrażenie, jakby nie był zainteresowany tym co robią. – Wie pan, jak to jest. W jednostce wszystko musi być pod kącik i linijkę. Wszystko musi lśnić i błyszczeć, a żołnierze z tego plutonu więcej czasu spędzają na wyjazdach i patrolach poza bazą.

Nie za bardzo mają czas na takie koszarowe porządki, a nie każdy potrafi to docenić. Po co ryzykować jakąś dodatkową służbę... albo naganę za nieswoje winy.

– Ty, Leńczyk, nie bądź taki do przodu – zwrócił mu uwagę lekko zirytowany P_E. – Nie jestem głupi i wiem, że nie o to chodzi. Nie jestem bubkiem albo ofikiem, który będzie się czepiać takich dupereli, a już szczególnie na misji. Mam swoje zadanie i będę się starał wypełnić je jak najlepiej i nie mam zamiaru nikogo gnębić. Możesz to powiedzieć swoim kolegom, tak samo jak to, że bez ich zgody albo rozkazu przełożonego nie wejść na własną rękę do ich kontenera, aby go przeszukać. Mam swój honor...

– Sorry, panie chorąży, ale nie o to mi chodziło – Leńczyk wyraził skruchę i szybko zmienił temat rozmowy. – Podobno miał pan do mnie jakąś sprawę...

– No tak – P_E spojrzał na niego uważnie. – Mam kłopot i jestem zmuszony poprosić cię o pomoc. Wiem, że masz dzisiaj dzień wolnego... – od razu dostrzegł, że szeregowy nie jest uszczęśliwiony jego propozycją i nawet nie stara się tego ukryć. – Ale wszyscy moi ludzie mają już przydzielone ważne zadania, a muszę podesłać kogoś do sztabu. To nic wielkiego, musi stać w drzwiach i udawać, że kontroluje, kto może wejść do środka, a kto nie. Wiem, że to robota głupiego, ale akurat nie mam nikogo pod ręką, więc pomyślałem o tobie. Twój wybór, albo postać parę godzin w sztabie, albo pojechać ze mną do wypadku w bazie, gdzie będziesz robił za świadka.

– Co to, to nie – Leńczyk od razu przerwał chorążemu, zapominając, że jest w wojsku i właściwie to nie on decyduje, co i gdzie będzie robił. – Nie mam zamiaru szwendać się po sądach. Wiem, co to znaczy i dzięki, ale nie jestem tym zainteresowany.

– Tego się spodziewałem. Właśnie dlatego sądzę, że nadasz się do roboty w sztabie – P_E nie wyglądał na zaskoczonego jego odmową. – Przede wszystkim jest tam cicho, nikt nie będzie się ciebie czepiał ani próbował wysyłać do innych zadań.

Masz po prostu stać w drzwiach i udawać, że doskonale wiesz, kto może wejść do środka, a kto nie. Obok stoi automat do kawy i herbaty, więc można jakoś przetrwać tych kilka godzin, które tam spędzisz. Pamiętaj tylko, żeby za dużo nie gadać – uważnie spójrz na Leńczyka. – Najlepiej w ogóle nic nie mów i odpowiadaj tylko na pytania. To może potrwać godzinę, najwyżej dwie – zapewnił, dostrzegając wahanie w jego spojrzeniu. – To co, pomożesz mi? Obaj wiemy, że możesz mi odmówić, ale proszę jak kolegę.

– A co będzie, jak znowu z czymś wyskoczę? – zaniepokoił się Leńczyk, nie będąc przekonany czy to naprawdę dobry pomysł. – Wie pan, jak to ze mną bywa. Niby wykonuję tylko rozkazy, a później zawsze wybucha jakaś afera.

– Spokojnie, Leńczyk, tym razem nic się nie stanie – zapewnił P_E.

– U nas, w domulu, na takie zapewnienia mówiło się, że ktoś wręcza wędkę na głupie ryby.

– Co? – zdziwił się P_E nie pojmując, co chce mu przekazać. – Jaką wędkę?

– Obiecanki oficerskie i wędka na głupie ryby to jedno i to samo – wyjaśnił spokojnie szeregowy. Sądząc z wyrazu twarzy P_E, ten nadal nie wiedział, o co chodzi, więc dodał. – Obiecanki cacanki... najważniejsze, aby ktoś się na to złapał, obojętnie, z którego końca wędki.

– Aha, teraz rozumiem... – P_E przyglądał mu się bez uśmiechu. – Proszę tylko o pomoc, nic więcej.

– No dobra. Ale na pana odpowiedzialność... – zastrzegł szeregowy Leńczyk.

Okazało się, że praca w sztabie nie jest tak zła, jakby mogło się wydawać. Choć oczywiście najlepiej było, gdy etatowi zakończyli swoje zmiany i w sztabie zostali tak zwani zmianowi. Przede wszystkim było ich mniej, a więc i nie trzeba się było tak starać, aby nikomu nie wejść w drogę.

– Szeregowy, nie szwendajcie mi się tutaj jak smród po gaciach – od początku ustawił go podpułkownik Dąbrowski, zastępca szefa sztabu. Natknął się na Leńczyka przy stoliku z napojami i coś mu się widocznie nie zgadzało, gdy widział zwykłego szeregowca pod bronią w tak eksponowanym miejscu. Ku uldze Leńczyka prawie od razu podszedł do pułkownika kapitan od pajaków, czyli łączności i odciągnął go do swojego kąta ze sprzętem radiowym. Na wszelki wypadek Leńczyk przez kolejne minuty starał się nie wchodzić mu w drogę, co nie zawsze się udawało, bo akurat tego dnia pułkownik Dąbrowski zastępował szefa sztabu i chciał się wykazać przed innymi oficerami. Jak Leńczyk szybko się zorientował, podpułkownik nie miał wielkiego poważania wśród swoich sztabowych współpracowników. Był nazywany „nadpułkownikiem”, znającym się na wszystkim i o wszystkim mającym swoje zdanie, które bardzo często i ochoczo wypowiadał. Z większym zaangażowaniem, gdy przypadkiem obok niego stał wyższy oficer, najchętniej generał. Swoje doświadczenie „nadpułkownik” zdobywał podczas licznych zagranicznych przeszkoleń, na które zawsze, nieodmiennie zgłaszał się jako pierwszy z grona oficerskiego. Nie przejmował się przy tym, czy owe przeszkolenia są związane tematycznie z poprzednimi i czy jest sens, aby w nich uczestniczyć. W trudny i niezrozumiały dla innych oficerów sposób zawsze pierwszy dowiadywał się o każdym nowym przewidywanym szkoleniu, czym czasami zaskakiwał samego szefa od wyszkolenia, który nie zdążył jeszcze przewidywanego przeszkolenia zaakceptować. W każdym razie długotrwała obecność „nadpułkownika” poza granicami kraju fatalnie wpłynęła na jego polski akcent, jak również na poprawność używania języka polskiego. Przyzwyczyił się wtrącać do swojej wypowiedzi słowa w innych językach, ze szczególnym upodobaniem włoskiego, którego się akurat uczył.

Szeregowy Leńczyk stał się mimowolnym świadkiem rozmowy, choć bardziej to przypominało monolog „nadpułkownika” skierowany do młodego kapitana koordynującego wspólną akcję pieszego patrolu z osłaniającym go śmigłowcem. Pan

„nadpułkownik”, jak to było w jego zwyczaju, nie darował sobie okazji, aby udowodnić, że na wszystkim zna się najlepiej. Żeby było śmieszniej, swoją tyradę cały czas przeplatał makaronizmami, nie przejmując się tym, czy akurat ma to jakiś sens. W każdym razie wyjaśniał zawile kapitanowi na czym powinien się skupić i co kilka słów wrzucał określenie „umbrella”, za każdym razem kładąc nacisk na inne spółgłoski. Po trzech minutach zorientował się, że coś jest chyba nie tak, bo twarz kapitana na przemian bladła i czerwieniała.

– Czy pan kapitan rozumie, co do niego mówię? – spytał, zaniepokojony sytuacją.

– Tak jest – potwierdził służbowo kapitan, unikając wzroku wyższego oficera. Z drugiej strony, nawet szeregowy Leńczyk zdawał sobie sprawę, że kapitan nie miał innej możliwości, jak w ten sposób odpowiedzieć swojemu przełożonemu. To jednak, że cały czas był czerwony na twarzy i kaszłał, nie przekonało do końca „nadpułkownika”.

– Bo ja, panie kapitanie, całkiem nieźle mówię po angielsku, ale z powodu swoich wyjazdów mam czasami kłopoty, aby wyrazić pewne określenia po polsku. Dlatego wtrącam to... umbrella... – wyjaśnił z powagą w głosie. – Bo wiecie, zapomniałem, jak jest po polsku parasol... rozumiecie?

– Tak jest! Parasol? – zdziwił się kapitan, z trudem utrzymując poprawną postawę.

– Oczywiście... parasol powietrzny... – wyjaśnił „nadpułkownik”, z naciskiem na słowo „powietrzny”, przyglądając mu się z uwagą. – Rozumiecie. Taka przenośnia wizualna... Umbrella... – ruchem obu rąk pokazał kształt parasola.

– Oczywiście, że parasol powietrzny – przyznał kapitan, kręcąc się w miejscu i z trudem utrzymując powagę.

– A może mi wyjaśnicie, dlaczego się tak kręcicie? Macie zastrzeżenia do moich przemyśleń? – wyrwało się „nadpułkownikowi”.

– Tak jest! To znaczy... Nie! – zapewniał kapitan z pośpiechem, szukając ratunku i nagle jego wzrok zatrzymał się na drzwiach od WC. – Tylko, kurwa, szczać mi się chce – krzyknął i nie zwracając uwagi na swego przełożonego, który stał z otwartymi ustami, ruszył prosto do drzwi.

– Aha... – Leńczyk usłyszał totalne zaskoczenie w głosie „nadpułkownika”, ale wolał udawać, że nic nie zwróciło jego uwagi, tym bardziej, że oficer nie uważał całej sprawy za zakończoną. – Na takim kursie to jeszcze nie byłem – wyjaśnił w miarę spokojnie, zastanawiając się nad czymś głęboko. – Aha... to idźcie robić swoje, a ja wam nie będę przeszkadzał... – stwierdził nagle do kapitana, który nie mógł już go słyszeć, i odszedł. Po kilku krokach zatrzymał się jednak i odwrócił, jakby zastanawiał się, czy aby na pewno dobrze zrozumiał kapitana. Coś tam jeszcze pogadał do siebie, ale tak cicho, że Leńczyk nie mógł nic zrozumieć, i poszedł do swojego gabinetu, co reszta obsady sztabu przyjęła z nieukrywaną ulgą.

Kwadrans później pojawił się ponownie na sali, jakby niezadowolony, że nie dzieje się tu nic na tyle ważnego, aby mógł po raz kolejny zabłysnąć swoją wiedzą i przenikliwością. Nie ukrywał swego niezadowolenia, że akurat teraz, gdy On ma służbę, nic się w terenie nie dzieje. Nawet nikt nie zgłaszał się przez radio, aby przekazać jakiś meldunek. Panował ogólny marazm, za którym nie przepadał.

– Coś się dzieje? – spytał z nadzieją w głosie.

– Cisza, panie pułkowniku – zameldował ktoś z tyłu. Rozłożył przy tym bezradnie dłonie, jakby chciał w ten sposób przekazać, że bardzo mu z tego powodu przykro. – Wszystko w porządku, nic się nie dzieje. Oby tak było jak najdłużej... – wyrwało mu się.

– To źle... – stwierdził stanowczo „nadpułkownik”, czym zaskoczył wszystkich w pomieszczeniu, ponieważ akurat każdy poza nim był z tego zadowolony.

„Nadpułkownik”, nie zwracając uwagi na innych i ich zdziwione spojrzenia, podszedł do mapy leżącej na głównym stole, aby przekonać się naocznie, czy jest

dokładnie tak, jak to mu zameldowano. Pomysłowość polskich żołnierzy jest ogólnie znana, więc i tym razem nie zdziwił się, że nasi żołnierze znaleźli sposób, aby niepotrzebnie nie niszczyć map, które leżały na stole. Na mapę położono przezroczysty kawał pleksi i każdy, kto był do tego uprawniony, mógł nanosić na nią symbole poszczególnych oddziałów, ochraniając przy tym mapę. Dzięki temu można się było zorientować, jakie są pozycje poszczególnych oddziałów, gdzie umieszczono punkty kontroli oraz punkty docelowe kolejnych patroli. Oczywiście każdy rodzaj wojska miał swój kolor, więc jedną z najważniejszych broni oficerów sztabowych były różnokolorowe markery. Szczególnie preferowane przez pracowników sztabowych były te zmywalne. Użycie innego było koleżeńsko karane postawieniem kawy w DiFAC-u. Zgodnie z niepisaną zasadą, nikt nie miał prawa używać innych pisaków, bo wszystko zaznaczone na mapie musi być przejrzyste i czytelne. Wystarczyło jedno spojrzenie „nadpułkownika”, aby przekonał się, że tym razem ktoś wyłamał się z tej zasady. Jeden z nowych oficerów, nieświadom zasad, a może zapomniawszy swoich zmywalnych mazaków, używał do określania pozycji dermatografów, czyli specjalnej kredki do rysowania na pleksi. Właściwie w niczym to nie przeszkadzało, bo znaki na pleksi są podobne, ale linie narysowane przez dermatograf fosforyzują, czy jak kto woli, świecą. Żaden z obecnych w pomieszczeniu nie widział w tym niczego godnego uwagi, tym bardziej że póki co, panował wokół spokój i tylko to się liczyło. Ale nie dla wszystkich, o czym się wkrótce przekonali.

– A to co?! – „nadpułkownik” dostrzegł świecące pozycje. – Tam są prowadzone walki! – stwierdził z przekonaniem, spoglądając z oburzeniem na swoich podwładnych. – Dlaczego nikt mi o tym nie zameldował?

– Ależ nie, panie pułkowniku – próbował go uspokoić kapitan wywiadu. – To taka kredka.

– A dlaczego świecą? – dociekał „nadpułkownik”, przyglądając się podejrzliwie kapitanowi, jakby nie do końca mu ufał. – Jak byłem na kursie w Aachen, to świeciło się tam, gdzie coś się działo.

– To pozycje naszych wiatraków... A efekt świecenia uzyskujemy poprzez specjalne kryształki, które są w kredce. Świecą pod wpływem światła... – do rozmowy włączył się porucznik łącznikowy, który dzisiaj zastępował oficera odpowiedzialnego za łączność z lotnictwem. Notabene to właśnie on był sprawcą całego zamieszania i czuł się w obowiązku wyjaśnić sytuację. – Oznaczamy tak nasze wiatraki, aby je odróżnić od innych maszyn... – dodał ciszej.

– No tak, przecież wiem – zapewnił usatysfakcjonowany „nadpułkownik”, po czym szybko dodał: – Ale połączcie się z nimi i niech potwierdzą, jaka jest u nich sytuacja!

– Panie pułkowniku... – porucznik lotnictwa znalazł się w mało komfortowej sytuacji, wiedząc, że jest to niezgodne z obowiązującą procedurą. Z drugiej strony nie wiedział, jak ma to przekazać wyższemu oficerowi. Zbyt bezczelna odzywka mogła doprowadzić do końca jego kariery i to jeszcze zanim się zaczęła. Na wszelki wypadek postanowił być dyskretny. – Panie pułkowniku, nie możemy bez ważnej przyczyny przerywać ciszy w eterze. To na wypadek, gdyby ktoś nas podsłuchiwał.

– O!... – „nadpułkownik” zrobił wielkie oczy. – Dlaczego nikt mnie nie poinformował, że jesteśmy podsłuchiwani przez wroga?!

– Nie mamy potwierdzenia, że tak właśnie jest, ale na wszelki wypadek ograniczamy łączność do minimum... – zameldował kapitan od wywiadu i szybko uciekł spojrzeniem w bok. – Co do łączności, panie pułkowniku, to dozwolone są wyłącznie meldunki, gdy istnieje realne zagrożenie.

– Logiczne... – potwierdził „nadpułkownik”, ale wbrew pozostałym oficerom nie odszedł od mapy, co spowodowało nerwowe reakcje wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu. Leńczyk wyczuł, że zastanawiają się, czym ich znowu zaskoczy

„wódz”. A po naprężonych żyłach na czole „nadpułkownika” można było poznać, że cały czas... myśli.

– A macie łączność z oddziałami na dole? – zainteresował się po chwili „nadpułkownik”, wskazując na świecące kreski.

– Oczywiście, panie pułkowniku – zapewnił jeden z oficerów.

– To niech oni zapytają pilotów śmigłowców, co oni tam z góry widzą! – wpadł na genialny pomysł „nadpułkownik” i z miną zwycięzcy siadł na pobliskim krześle, krzyżując nogi. Po jego minie widać było, że nie ma zamiaru odpuścić i chce osobiście dopilnować wykonanie rozkazu. Cokolwiek by to znaczyło, w wojsku rozkaz jest rozkazem i trzeba go wykonać, choćby wszystkim wydawał się niedorzeczny i głupi. Leńczyk mógł obserwować, jak oficerowie porozumieli się spojrzeniami, po czym oficer od pajaków z niechęcią wstał i ruszył w stronę pomieszczenia, gdzie znajdowała się centralna radiostacja.

Po minucie wrócił z informacją, że wszędzie jest spokój, a patrol się zatrzymał, ponieważ zauważono podejrzany pakunek na poboczu drogi.

– To jaki spokój?! – zdenerwował się „nadpułkownik” gwałtownie wstając ze swojego miejsca i energicznie podchodząc do stołu, gdzie leżała rozłożona mapa. – Dlaczego nie zobowiązano wszystkich patroli do natychmiastowego meldowania o każdym zauważonym IED?

Nikt z obecnych nie uważał za stosowne, aby takim meldunkiem zakłócać spokój oficerowi dyżurnemu, który i tak nie mógł im w niczym pomóc. W takich przypadkach każdy patrol stosował klasyczną procedurę, czyli stawał w odpowiedniej odległości od podejrzanego znaleziska i czekał na przyjazd saperów, jeśli nie miał ich w swoim składzie. Co bardziej zapalczywi szybko radzili sobie sami, czyli otwierali do pakunku ogień i czekali, aż wybuchnie. Jeśli nie mogli do tego doprowadzić, zgłaszali problem do bazy i czekali, aż ktoś wymyśli co mają robić. Przeważnie kończyło się tym, że żołnierze z konwoju obserwowali najbliższą

okolicę i sprawdzali, czy nic podejrzanego nie dzieje się w zasięgu ich wzroku. A podejrzanym mógł być każdy człowiek, który się dziwnie zachowywał. Na przykład mężczyzna pijący herbatę przy niewielkim stoliku i udający, że nie jest nimi zainteresowany, podczas gdy w tym samym czasie inni mieszkańcy błyskawicznie znikali z ulicy. Albo ktoś kto zamiast pracować lub chociaż markować ową czynność stał i kontrolował co się dzieje przy IED. Jeden z żołnierzy zauważył podejrzanego mężczyznę, który uważnie ich obserwował. Chciał zwrócić na niego uwagę swego dowódcy, krzyknął więc, że facet może być trefny i skierował broń w jego kierunku. To wystarczyło, aby mężczyzna zniknął błyskawicznie, a chwilę później ktoś strzelił w ich stronę.

– Baza trzy jeden! – odezwał się niespodziewanie mocny krzyk w głośnikach zamocowanych pod sufitem. – Tu cztery osiem trzy. Mamy ostrzał z prawej flanki!

Spokój i senna atmosfera w pokoju momentalnie wyparowały, każdy zajął się swoją pracą i po chwili mieli konkretną propozycję. „Nadpułkownik” nie widział jednak potrzeby aby pytać się podwładnych co proponują.

– Cztery osiem trzy, tu pułkownik Dąbrowski – mówił spokojnie i pomijając procedurę stosowaną podczas takich sytuacji. – Nie dramatyzujcie, zwiążcie ogniem nieprzyjaciela i spróbujcie to załatwić we własnym zakresie. Zróbcie obejście... Jakby co, spróbuję coś tam wam podesłać... – obiecał niezobowiązująco.

– Baza trzy jeden! – dowódca konwoju, będąc na miejscu, miał inne zdanie na temat zaistniałej sytuacji. – Człowieku, co ty pierdzielisz?! Tu jest taki ogień, że aż drzewa się kładą!

– Jaki ma stopień ten dowódca konwoju? – zainteresował się „nadpułkownik”, zerkając na stojących wkoło oficerów. Nikt z nich nie chciał się pierwszy wyrwać.

– Chyba kapitan... – odpowiedział w końcu któryś, ale na wszelki wypadek zadbał o to, aby „nadpułkownik” go nie zidentyfikował.

– Kapitanie, niepotrzebnie dramatyzujecie całą sytuację! – „Nadpułkownik” zwrócił mu delikatnie uwagę, co zapewne miało kapitana uspokoić. W każdym razie według sztabowca. – Przecież można powiedzieć, że drzewa się kłaniają, a nie od razu kładą.

– Baza trzy jeden! Czy jest wśród was ktoś normalny?! – głos przez radio był przerażony. – Właśnie ostrzelano nasze pozycje z moździerzy! Co mamy robić?!

– A, to co innego! – wyraźnie ucieszył się „nadpułkownik”, wstając z miejsca i pochylając się nad mapą. – Natychmiast wycofać wojsko! – rozkazał szukając jakiegoś dogodnego miejsca, ale nic nie wydawało mu się odpowiednie do tego, co planował. – Cofnąć się proszę jakieś pół kilometra do tyłu. Tam proszę się okopać się i czekać na główne siły...

– Kiedy możemy spodziewać się ich nadejścia? – zapytał dowódca konwoju, na którego spokój i profesjonalizm „nadpułkownika” musiały wpłynąć uspokajająco.

– To można się cofnąć nie do tyłu? – zdziwił się jeden z oficerów w pomieszczeniu, ale zrobił to na tyle cicho, że nikt poza najbliższymi osobami nie mógł tego usłyszeć.

– A skąd mam wiedzieć? – zdziwił się z kolei „nadpułkownik”. – Przecież to wy z nimi walczyście.

– To ja mam czekać na nieprzyjaciela? – dowódca konwoju nie potrafił ukryć rozczarowania. – A co z pomocą dla nas?

– Poprosiłem o pomoc kawalerię USArmy – do rozmowy włączył się porucznik od wiatraków. – Obiecali, że za jakieś siedem minut w wasz rejon dotrą dwa Apacze. Do tego czasu musicie sobie radzić sami.

– Cztery osiem trzy... – do rozmowy włączył się w eterze kolejny głos, którego nie mogli zidentyfikować. – Tu Baza cztery jeden. Wysłałem do was nasz oddział interwencyjny, ale potrwa jakieś pół godziny, zanim do was dotrze. Wytrzymacie?

– Jasne... – odpowiedział dowódca konwoju. – Muszę oszczędzać amunicję...

– Panie kapitanie... – „nadpułkownik” zwrócił się w stronę kapitana od pajaków. – Proszę zwrócić uwagę Bazie cztery jeden, że ewentualni jeńcy będą nasi, a nie ich...

– Uważa pan, że to ważne, kto weźmie jeńców? – wyrwało się jednemu z oficerów. – Przecież oni mają do nich bliżej i to ich teren.

Spojrzenie, jakim zaszczylił go „nadpułkownik”, mogłoby należeć do tajnej broni polskiego wojska na zasadzie „spójrz i zabij”, w każdym razie było na tyle skuteczne, że skarcony oficer do końca dnia starał się unikać swego przełożonego.

– Młody, to i durny – ocenił jego zachowanie „nadpułkownik”, nie próbując nawet ukryć swojej niechęci. – Przecież wzięcie jeńców to czyn, za który należy się pochwała w raporcie, a i medal może się trafić – zaznaczył przeciągle.

Pięć minut później ponownie nawiązano łączność z zaatakowanym konwojem. Sytuacja musiała się unormować, bo w głosie dowódcy nie było już ani śladu nerwowości.

– Panie kapitanie – „nadpułkownik” jak zwykle chciał grać najważniejszego. – Macie jakieś straty? I proszę zameldować o aktualnej sytuacji.

– Baza trzy jeden. Tu kapral Wię... – zameldował się ktoś nerwowo poprzez radiotelefon. Niestety, tym razem odbiór był o wiele gorszy i co chwila przerywał go metaliczny zgrzyt w głośnikach, co mogło świadczyć, że nadający ma jakieś kłopoty ze sprzętem. Zgrzyt był tak intensywny, że wszyscy odruchowo zasłonili uszy, ale jednocześnie słuchali z uwagą, aby nie uronić żadnego słowa – ...radiotelegrafista... Pan kapitan jest przy uszkodzonym wozie z mechanikami. W chwili obecnej sytuacja wydaje się unormowana. Co jakiś czas w naszym kierunku oddawane są strzały, ale nic groźnego. Straty własne zero...

– Kapralu, ale dokładnie jak to wygląda? – dociekał „nadpułkownik”

– Dokładnie to po trzyminutowej wymianie ognia większość z nas wystrzelała posiadany limit amunicji i teraz siedzimy dupą w rowie i zaczynamy jarać szlugi,

modląc się, aby szuszwale nie chciały nas zaatakować, bo chyba przyjdzie nam się kamieniami bronić – walnął bez zastanowienia głos po drugiej stronie. – Na szczęście kaemy mają większy przydział i mamy czym się bronić. Teraz zrozumiałeś, tłumoku?

– Kapralu, za dużo sobie pozwalacie! – „nadpułkownik” najwyraźniej był porażony prostotą słów z drugiej strony. – Jak się nazywacie?!

– Kurwa! Ta cholerna ruina znowu się pojechała – doskonale słyszeli każde słowo z drugiej strony i uderzenia w obudowę radiostacji, które miały pomóc w jej naprawie. Teoretycznie może i takie traktowanie mogło w cudowny sposób naprawić sprzęt, ale mało kto ze sztabu wierzył w awarię sprzętu. Bardziej w to, że ktoś po drugiej stronie zorientował się, że powiedział kilka słów za dużo i teraz szykował sobie wytłumaczenie... – Baza trzy jeden! Nic was nie słyszę!! Kurwa!! Czy ktoś potrafi to gówno uruchomić?! Nic, kurwa, z tego co gada ten palant nie można zrozumieć. To chyba jakiś szuszwol, nawet dobrze po polsku gada...

– Kapralu, ja was pod sąd postawię!... – pieklił się „nadpułkownik”, ale szeregowy Leńczyk nie dosłyszał już, jak to się skończyło, bo w tym samym czasie pojawił się człowiek od P_E, który go zastąpił.

Do kontenera wrócił po godzinie dwudziestej drugiej, bo nie byłby sobą, gdyby nie zaszedł jeszcze do DiFAC-u, gdzie zdołał się jeszcze załapać na kolację. Prawnik Dżyngis Chana siedział przed kontenerem w fotelu, a obok niego leżała rozpakowana porcja amerykańskiego MRE, czyli Meal Ready to Eat, które tak smakowało Leńczykowi. Widocznie jego nowemu koledze także, zostawił tylko foliowe opakowanie, a sam wyglądał na zadowolonego z życia. Z radością jednak przyjął dodatkową kanapkę od szeregowego i żując ją w milczeniu wpatrywał się filozoficznie w ciemny horyzont przed sobą. Leńczyk nie bardzo pojmował, co go tam interesuje, ale dla grzeczności towarzyszył mu tym bardziej, że nie miał nic innego do roboty. Pół godziny później schował się w kontenerze przed owadami.

Leżał właśnie w swoim wyrku, z kamizelką i hełmem w zasięgu ręki, gdy drzwi raptownie się otworzyły i do środka wleciał plecak, a za nim pojawił się sierżant Drwał. Musiało go coś zaskoczyć, bo stanął w progu, rozejrzał się uważnie, jakby sprawdzając, czy jest we właściwym kontenerze i gwizdnął głośno, dostrzegając go na łóżku.

– Dobra nasza... – krzyknął w ciemną czeluść za drzwiami, nie zwracając żadnej uwagi na Leńczyka, który błyskawicznie stanął na baczność. – Przecież wam mówiłem, że sprzątałem przed wyjazdem, a nikt nie chciał mi wierzyć...

– Drwał, nie pierdziel... – najwyraźniej ktoś miał właściwe zdanie o zdolności Drwala do sprzątania i raczej nie była to ocena pozytywna. – Chcesz powiedzieć, że zapomniałeś zamknąć okno i wszystko wywiało na zewnątrz.

– Zorgi, nie bądź taki cwany. Sam zobacz, jak mi nie wierzysz – sierżant odsunął się na bok, aby przepuścić kogoś przed sobą. – I nie zapomnij mnie przeprosić, prostaku i niedowiarku.

W drzwiach pojawił się niezbyt wysoki, ale mocno zbudowany żołnierz, który ogarnął szybkim spojrzeniem cały kontener i od razu zauważył stojącego Leńczyka.

– Kłamstwo zawsze ma krótkie nóżki, sierżancie – parsknął śmiechem, wchodząc głębiej. – Widzę właśnie twojego nowego niewolnika, Drwalu. I cała sprawa się wyjaśniła, parszywy kłamco. Stawiasz wszystkim piwo!

– Nowy? – Widocznie nie mógł wejść do środka i musiał utorować sobie drogę do wyrka – w drzwiach pojawiła się kolejna zaciekawiona twarz i przez długą chwilę wpatrywała się z uwagą w stojącego na baczność szeregowca. Był to szczupły żołnierz, który jako jedyny miał twarz pomalowaną w barwy ochronne, jakby wrócił właśnie z jakiejś tajnej operacji. Podeszedł do łóżka nad nim, wrzucił na górę swoją broń i wyciągnął do niego rękę. – Poznajmy się. Mówią na mnie Aspir.

– Dokładnie to mówimy „doktor Aspiryna”... – uzupełnił Zorgi, który skinął Leńczykowi dłonią i usiadł z zamachem na krześle, oddychając z ulgą. – To nasz

specjalista od odcisków i zadrapań – wyjaśnił wskazując na lekko zmieszanego żołnierza, rozciągając ramiona, jakby w uldze, że nareszcie może się pozbyć dodatkowych kilogramów, które na sobie dźwigał. – Ale nie polecam jego usług. Jak dla mnie, rok medycyny, który zakończył wylatując z hukiem za imprezowanie, to za mało, abym mu zaufał i oddał swoje ciało w ręce tego konowala. Jak nic, coś na pewno spartoli.

– Obyś nie wykrakał – odgryzł się Aspir, kręcąc z niechęcią głową. – Obiecuję ci, że w każdym razie nadal zostaniesz dziewicą. Na pewno cię nie dotknę, że już o wykorzystaniu nie wspomnę. Brzydzą mnie takie męskie typy.

– Nie denerwuj się i tak jesteś jedynym lekiem na moją duszę – zaśmiał się chrapliwie Zorgi, rozglądając się wokół, jakby oceniał porządek w kontenerze. Spojrzał na Leńczyka i po raz drugi skinął z uznaniem głową. – Musiałeś się tu sporo narobić. Pamiętam ten brud, jaki oni zostawiali przed wyjazdem. Jak widać, nasz sierżant Drwał zawsze umie się ustawić, aby sobie rączek nie pobrudzić. Nie pamiętam dnia, kiedy ostatni raz widziałem go ze szczotką w ręku.

– Bo od sprzątnięcia rejonu to są takie sierściuchy jak ty – oznajmił Drwał, wchodząc do środka i przesuwając nogą swój plecak pod pierwsze lepsze łóżko. – Szarzy kartofle w piwnicy gniją, jak każe im się sprzątać! Zapamiętaj to sobie, sierotko boża! Dobrze, że wreszcie jesteś... – mrugnął do Leńczyka, po czym walnął się na swoje łóżko i głośno puścił bąka.

– Cham ... – stwierdził głośno Aspir. Nie zabrzmiało to obraźliwie, raczej jak zwykłe stwierdzenie faktu. – Drwał, zachowuj się. W końcu jesteś wśród porządných ludzi!

– O kurwa, miło, że się przedstawiasz! A ja jestem Drwał, bardzo mi przyjemnie – sierżant uniósł się na łokciach i rozejrzał uważnie po sali. – Tych porządných ludzi, którzy przebywają wśród nas, przepraszam!

Przerwał, zrobił zdziwioną minę i zwrócił się do swego podwładnego.

– Ty, Aspiryna, kutaforie jeden, ja tu z porządnym widzę tylko nowego... A ty pierdzielisz, jakby było ich tu więcej. Chyba nie myślałeś o sobie, co?

– To się sierżant myli – stwierdził z powagą Aspir, ale sierżant przestał już na niego zwracać uwagę.

– Nic tak atmosfery nie polepsza, jak dobry bąk... – stwierdził filozoficznie Drwał opadając znowu na swoje łóżko. – Nareszcie poczujecie się jak u siebie w domu, psie zbuki. Bez bąknięcia to by się wam koszmary śniły, a tak będziecie mieli wrażenie, że jesteście w swoim domu, śmierdziuchy jebane.

– Jaki pan, taka miara – stwierdził spokojnie Zorgi, ale na wszelki wypadek odsunął się trochę dalej, aby być poza zasięgiem dłoni sierżanta. – Kto mieszka w chlewie, to myśli, że dla innych to także naturalne środowisko.

– Kurwa!... – doszedł do wszystkich zdenerwowany głos od strony drzwi. – Kiedy te kutasy z logistyki wreszcie zrozumieją, że stołówka powinna pracować tak długo, aż z terenu nie wróci ostatni patrol! Co za jełop wymyślił, aby ją zamykać o godzinie dwudziestej drugiej?! Powinni pracować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Do środka wszedł kolejny z żołnierzy. W tym wypadku trudno było cokolwiek powiedzieć, żołnierz jak żołnierz, ani za wysoki, ani za niski, ani mocno zbudowany, ani chudy. Po prostu zwyczajny facet, który nie rzuca się za bardzo w oczy. Jednym słowem, przeciętniak.

– O kurwa... – zaklął, dostrzegając Leńczyka siedzącego na łóżku, po czym uśmiechnął się szeroko. – Cześć, nowy! Jestem Luzak, w tym, badziewiu odpowiadam za samochody, łączność i... – zawahał się, zerkając na pozostałych. – I za tych debili, którzy są teraz tutaj. Wyciągam ich z tarapatów... – zaśmiał się i szybko zszedł z toru lotu jakiegoś podejrzanego kalosza, który nie wiadomo skąd pojawił się w powietrzu.

– Ty nas wyciągasz z tarapatów?! – zdziwił się Drwał, siadając z wrażenia na łóżku, które podejrzenie pod nim zaskrzypiało. – To co ja tutaj robię?

– Puszczasz baki! – odpowiedzieli zgodnie w trójkę parszcząc śmiechem. – Dlatego właśnie nikt nie podchodzi do naszego kontenera, bo capi z niego tak, że nikt nie może tego wytrzymać.

– Capi, kurwa?! – zdenerwował się Drwał, choć uśmiech nie schodził z jego twarzy. – To trzeba jaja myć, a nie tylko się brandzlować, eunuchy zasrane.

– Kto capi? – padło rzeczowe pytanie od drzwi.

Pierwszym, który się rzucił Leńczykowi w oczy, był specjalny futerał do broni, a dopiero później zwrócił uwagę na osobę, która to powiedziała. Żołnierz był starszy od pozostałych, poza sierżantem Gecco. Zastanawiający był także fakt, że zanim wszedł do środka, najpierw sprawdził, kto jest w środku i jaką zajmuje pozycję. Dopiero wtedy wkroczył do kontenera, pociągnął znacząco nosem i uśmiechnął się do sierżanta Drwala.

– Nie da się ukryć, Drwalu, że wy nie capicie, tylko po ludzku śmierdzisz – stwierdził spokojnie i nie zwracając uwagi na pozostałych, którzy wybuchnęli śmiechem, ruszył w stronę łóżka. – A co, ktoś tu miał wątpliwości, kto najwięcej się brandzluje?

– Jacho!... – Drwał uniósł wymownie wskazujący palec ku górze. – Nie przesadzaj. Ja się na pewno częściej myję niż pozostali!

– Bo inaczej musiałbyś spać na dworze! Na nasze nieszczęście jest coraz zimniej i nie mamy serca wywalić sierżanta na zewnątrz – zarechotał Aspiryna, uchylając się przed powracającym do właściciela gumakiem. – Sorry, Drwalu, ale taka jest prawda, a z nią nie wygrasz. Przecież sto razy ci tłumaczyłem, że ten specyficzny zapach to nie twoja wina. Masz po prostu genetyczną strukturę potu Murzynek i po dwóch minutach myślenia o seksie, śmierdzisz dokładnie tak samo jak one.

Zarechotali wszyscy zgodnie, ale na wszelki wypadek pilnowali, aby nie stać zbyt blisko Drwala lub w miejscu, w które mógłby on posłać swoje buty.

– Dowiedz się lepiej w domu, czy nie masz wśród swoich przodków jakiegoś dziadka z Afryki – dorzucił Luzak. – To by wiele wyjaśniało. Natura dała ci postawę Bambo, poskapiła jedynie pozostałych atrybutów czarniawych.

– A co ty, białasku, możesz wiedzieć o seksie? – zdziwił się sierżant, spoglądając na niego z uwagą i oceniając, czy zdoła go złapać za jednym razem i skutecznie unieruchomić. W przeciwnym razie rozpędzony mógł trafić w łóżko, co przy jego masie skończyłoby się zdemolowaniem mebla. Już tak kiedyś było i obaj musieli spać na podłodze, zanim udało się załatwić nowe wyrka. – Do tego jest potrzebna fujara, a nie takie piccolo, jakie masz między nóżkami. Słyszałem, że ostatnio złożyłeś zamówienie na lupe, bo masz jakieś kłopoty, żeby znaleźć swojego flecika w kłocie. Coś Ci się skurczyło, czy brzuch urósł za duży?

– Drwalu, nie wszystko co duże, jest pełne i mięsiste – odezwał się z powagą Jacho, który już ułożył cenny futerał na specjalnych łóżach przymocowanych nad swoim łóżkiem. – Na przykład taka purchawka... – stwierdził filozoficznie, ale nie skończył, tylko stanął naprzeciw Drwala, gotowy do przyjęcia ataku.

– To jest to... – Zorgi i Aspiryna prawie się turlali ze śmiechu na swoich łóżkach. – Drwal ma dużego jak balon, ale zbyt wrażliwego, aby go użyć! Dlatego obchodzi dupę z daleka, bo się boi, że mu wytrysk jaja urwie...

– Co tu tak wesoło? – Leńczyk już stracił orientację widząc kolejnego żołnierza wchodzącego do kontenera. Ten, w odróżnieniu od pozostałych, rzucał się w oczy. Niski, ale mocno zbudowany i co najważniejsze, jego twarz była bardzo charakterystyczna. Małe skośne oczy, lekko ciemnawa cera twarzy, szeroki nos, można się było domyśleć, że ma się przed sobą przedstawiciela jednej z mniejszości narodowych.

– To jest nasz Wilk – wyjaśnił Jacho Leńczykowi, wskazując na wchodzącego do wnętrza żołnierza.

Drwał, jakby zadowolony, że przestał być punktem zainteresowania, ponownie siadł na swoim łóżku i spod poduszki wyciągnął stary, mocno zniszczony świerszczyk i zaczął go spokojnie przeglądać, wydając z siebie dziwne dźwięki.

– Jak widzisz, nasz Wilk jest człowiekiem bywałym w świecie – ciągnął spokojnie Jacho, ponaglając go, aby wszedł do środka. – Żeby było wszystko jasne, jest z pochodzenia Tatarem, a jego przodkowie są Polakami od siedemnastego wieku. Jest wyznawcą Allacha i my, w odróżnieniu od dupków z jego poprzedniego oddziału, nie mamy nic przeciwko temu, akceptujemy go takim, jaki jest oraz jego religię. U nas najważniejsze jest jakim jesteś żołnierzem, i tylko to się liczy. Jeśli z jakiegokolwiek powodu ci to przeszkadza, możesz poprosić o przeniesienie do innego oddziału... – zakomunikował spokojnie, obserwując uważnie twarz Leńczyka. – Ale twoją decyzję chcemy poznać tutaj i zaraz... Taką mamy zasadę... – zaznaczył spokojnie.

– Nazywam się... – zaczął mówić Leńczyk, ale od razu mu przerwali.

– Nie pierdziel, nikt z nas nie chce znać twoich danych osobowych, to nie jednostka – uciszył go Jacho, a Drwał przyglądał się temu z iskierkami zainteresowania w oczach. – Każdy z nas ma swój przydomek zamiast nazwiska. Ty już swój masz, więc nie musisz się o to starać, jak inni.

– A jaki? – zainteresował się Leńczyk.

– Przyjdzie szef, to ci powie – odezwał się ze swojego miejsca Luzak, puszczając do niego oko. – Mogę ci tylko powiedzieć, że nie mieliśmy z tym takich kłopotów, jak w przypadku naszego sierżanta, który miał aż trzy do wyboru.

– Że co? – zdziwił się Drwał. – Jakie, kurwa, trzy? Zawsze byłem Drwalem...

– No... – wyjaśnił ze śmiechem Luzak. – Zapomniał pan o Bąkaczu i Gumuli?

– Jaki, kurwa, Gumuli? – wściekał się sierżant. – Co to w ogóle jest?

– Po poznańsku to śmietnik – Aspiryna śmiał się na swoim łóżku. – Bo sierżant wciąga w siebie wszystko, co ma pod ręką.

– Ja wam dam, kurwa, śmietnik – wściekł się sierżant. – Dać paralitykom władzę, to z gnojem na butach na dywan wejdą. Poznacie, co to znaczy służyć pod moimi rozkazami.

– Okej, sierżancie, tylko żartowaliśmy – uspokoił go grzecznie Jacho. O dziwo, wystarczyło że to powiedział, a sierżant przestał się denerwować i wrócił na swoje miejsce, jakby nic się nie stało.

– Nadanie ksywy nowemu to przywilej dowódcy – wyjaśnił Jacho, siadając na łóżku. – Czasami podczas akcji jest za mało czasu, aby meldować po służbowemu, wtedy musi wystarczyć jedno słowo, aby każdy wiedział, co ma robić. Zanim jednak do tego dojdzie, nie pierdziel nam głupich gadek, tylko powiedz prosto w oczy, jeśli masz coś przeciwko jednemu z nas. Jesteśmy silni jednością, więc jakiegokolwiek zatargi lub wzajemne animozje są wśród nas nie do przyjęcia. Zrozumiałeś? – wskazał spojrzeniem na stojącego Wilka.

– Skoro tak... – Leńczyk z trudem przełknął ślinę, wstając z łóżka. – Nie interesuje mnie, kto z kim śpi – zastrzegł od razu, podchodząc do Wilka. – Jeśli chodzi o religię, to szanuję każdą, bo uważam, że to jest osobista sprawa każdego człowieka i nic mi do tego. Wiem, że jesteście jednymi z najlepszych...

– Jednymi z najlepszych? – przerwał mu Zorgi ze zdziwioną miną. – Blekotu się najadłeś, młody?

– Jesteśmy po prostu najlepsi, synku... – zwrócił mu uwagę Jacho, co spotkało się z powszechnym aplauzem. – Choć są tacy, którzy nie chcą tego przyznać.

– A więc, jesteście najlepsi... – poprawił się szybko. – Ale na wasze nieszczęście teraz to się już skończyło, bo ja do was dołączyłem. O ile znam swoje szczęście, to nie będzie już tak dobrze, jak było.

Wszyscy parsknęli śmiechem, słysząc jego wywód.

– W każdym razie mogę wam obiecać, że będę się starał... – chciał im powiedzieć, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby im dorównać. Naraz poczuł, jak coś owija się dookoła jego głowy i nim zdążył zaprotestować, już leżał skrepowany na łóżku. Wiedział, czego się może spodziewać, zastanawiał się tylko czy tak jak w domu dziecka dostanie taki wycisk, że z trudem będzie mógł siadać przez cały tydzień, czy też będzie to bardziej humanitarne traktowanie. Było pośrednio, to znaczy dostał osiem mocnych, choć bez przesady, pasów przez tyłek i naraz się wszystko uspokoiło. Nie wiedział tylko z jakiego powodu, czy to już była cała dawka, czy też przeszkodził im ktoś inny wchodzący akurat do kontenera.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – Leńczyk już gdzieś słyszał ten głos, nie mógł przez chwilę sobie przypomnieć, gdzie to było. Naraz skojarzył sobie nagiego mężczyznę w hełmie na głowie, który miał scysję z porucznikiem Rutkowskim. Trudno było leżeć, gdy do pomieszczenia wchodzi dowódca, więc wstał i w miarę szybko pozbył się z głowy koca. Wokół niego stali jego nowi koledzy, a naprzeciw niego mały... niewysoki sierżant Gecco z szelmowskim uśmiechem na twarzy oraz wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, który zdjął właśnie z głowy hełm i przyglądał mu się z powagą.

– Szeregowy Piotr Leńczyk... – próbował zameldować swoje przybycie.

– Cicho! – rozkazał mu dowódca, uciszając go jednym zdecydowanym ruchem dłoni. – Trafiłeś do dziwnego plutonu i u nas są inne zwyczaje, niż w praśnych jednostkach. Możesz być szeregowcem Leńczykiem i chuj mi do tego, ale dla nas jesteś od tej chwili szeregowcem Roverem, czy ci się to podoba czy nie. Od tego przezwiska nie przysługuje ci prawo odwołania i dopóki nie wywiniesz jakiegoś większego numeru, będziesz miał właśnie takie. Widzę, że chłopaki już cię przyjęli do drużyny, więc nie mam tu nic do gadania, ale... – zawiesił na chwilę głos, aby zagęścić atmosferę. – Zrobisz jakiś numer, nie wykonasz mojego lub ich rozkazu, zawahasz się i w ten sposób sprowadzisz na kogoś z naszych zagrożenie, to osobiście

wyrwę ci jaja z dupy i upiekę nad ogniskiem. Jak wiesz, jesteśmy tu na wojnie i nie interesuje mnie, co ci pojebani politycy mówili w telewizorni, zanim zdecydowałeś się tu przyjechać. Ale wiedz jedno... To, czego cię uczyli na kursach w kraju, to zwykle gówno. I lepiej będzie dla ciebie, jak najszybciej o tym zapomnisz. Nie mamy czasu ani chęci szkolić cię od nowa, dlatego będziesz pod osobistą opieką tych dwóch moczymordów... – wskazał kciukiem na zdziwionych tym oskarżeniem Drwala i Gecco – ...którzy jakimś cudem nadal są sierżantami i co gorsza, podlegają pode mnie. Cokolwiek każą ci robić, masz to wykonać natychmiast i bez zastanowienia. Jedyną odmowę, jaką będę respektował z twojej strony, to moment, w którym rozkażą ci sprzątać za siebie. Wtedy możesz im odpowiedzieć, aby się walili – z trudem utrzymał powagę prawie dusząc się od tłumionego śmiechu. Inni nie byli już tacy delikatni i nie hamowali swojej wesołości, co nie wywołało u wymienionych sierżantów objawów zadowolenia.

– Nie wiem, po co jesteś im potrzebny – ciągnął dalej swoją mowę kapitan. – Ale ten fakt mnie niepokoi, bo jesteś pierwszym żołnierzem, który trafia do naszego plutonu bezpośrednio ze szpitala. Miałeś, tak jak wszyscy pozostali żołnierze, którzy trafiają do naszego plutonu, zaczynać od czwartej drużyny, którą traktujemy jako szkoleniową i nie wysyłamy jej członków w miejsca, gdzie można oberwać po dupie. Przez to miałbyś szansę powoli do nas przywyknąć i zorientować się, czy warto u nas zostawać dłużej czy lepiej dać drapak. Wcześniej wskazani przeze mnie sierżanci uparli się jednak, abyś wyjątkowo trafił od razu pod ich opiekę. A o ile ich znam, to nie wróży dla ciebie... i niestety dla mnie, nic dobrego. Mam tylko nadzieję, że o ich kolejnych pomysłach dowiem się odpowiednio późno, aby nie żałować, że byłem na tyle głupi, aby się nimi opiekować. Mówiąc inaczej i beczelnie, trafiłeś chłopie z deszczu pod rynną i jeśli do tej pory miałeś okazję trochę pospać, to wiedz, że u nas już ci to nie grozi. Jeśli nie lubisz wystrzałów i wybuchów, to bardzo źle trafiłeś, bo u nas będziesz miał ich w nadmiarze. Jeśli chciałeś tę misję jakoś przeżyć, to wiedz, że

nikt nas tutaj nie lubi i wysyłają nas tam, gdzie inni nie wjeżdżają czołgami. A teraz, jeśli nadal chcesz z nami służyć, witam cię w plutonie i to było ostatnie miłe słowo, jakie usłyszałeś z moich ust – zakończył ponuro.

– Ale pierdolnął przemówionko... – stwierdził spokojnie sierżant Gecco patrząc na kapitana z uznaniem. – Lepiej nawijał niż nasz grzechomierz po pijaku.

– No – przyznał po chwili Drwał, drapiąc się po brodzie. – Nie wiem tylko, skąd przyszło mu to porównanie z moczymordami. Że oni – wskazał kciukiem na pozostałych – ...to rozumiem. Ale ja? Przecież pół litra to dla mnie nawet nie zakąska.

– Mam tylko jedno pytanie, panie kapitanie... – Leńczyk, to znaczy Rower, miał pewną wątpliwość. – Mogę o coś spytać?

– Pytać zawsze można, pod warunkiem, że jest to związane z naszym działaniem. Możesz nawet pić napoje bezalkoholowe bezpośrednio z butelki lub z termosu – wyjaśniał mu z powagą kapitan i widać było, że robi to na poważnie. – Możesz spożywać kanapki własnej konstrukcji, pod warunkiem, że przed zabraniem głosu przełkniesz to gówno i gadając nie będziesz nikomu pluł po oczach...

– Możesz czule spoglądać w oczy Aspiryny... – wszedł mu w słowo Drwał.

– Możesz pisać wiersze lub robić na drutach... – dodał swoje Gecco, zerkając wymownie w kierunku Jacho. – Możesz nawet leżeć trupem na ławce, ale po służbie...

– Dotyczy to osób zmęczonych życiem lub użyciem... – wyjaśnił spokojnie Jacho, blokując cios łokciem, jaki próbował mu zaserwować Gecco. – W przypadku obu naszych sierżantów, tym drugim, choć zapewne robili to ręcznie...

– Panowie, spokój – przerwał im dowódca, a gdy umilkli, spojrzał na szeregowego Rovera. – Pytaj...

– Dlaczego „rower”? – spytał z nadzieją, że wreszcie ktoś mu to wyjaśni.

– Źle to wymawiasz... – zwrócił mu uwagę kapitan. – Ty nie jesteś rower, przez w... Ty jesteś Rover przez angielskie „v”. To różnica... I już koniec... – zauważył, że Leńczyk ponownie chce zadać pytanie. – Sam powiedziałeś, że masz jedno pytanie. Jedno! – zaznaczył, odwracając się do niego plecami. Naraz stanął i odwrócił się do niego, jakby coś mu przyszło do głowy. – Tak się zastanawiam, czy masz nam coś do powiedzenia?

– Właściwie to nie... – przyznał Leńczyk, ale nie wiadomo dlaczego zaczął myśleć o propozycji P_E. Jednak to nie byłoby w porządku wobec kolegów, gdyby to zataił. – Chociaż właściwie... Zanim tu zostałem skierowany, P_E namawiał mnie, abym miał na was oko.

– I co? – spytał Zorgi, z widocznym zainteresowaniem. – Zgodziłeś się?

– Ja jestem Rover, nie rower – odpowiedział z powagą. – Nie po to tu przyjechałem, aby bawić się w ucho kanarów. Nigdy na nikogo nie donosiłem i nigdy tego nie zrobię.

– A dlaczego nam o tym powiedziałeś? – zainteresował się Aspir.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Uważałem, że powinniście o tym wiedzieć. W końcu nie każdemu się proponuje takie awanse.

– Kurwa, że ten stary jebus nie może nam darować! – rozdarł się sierżant Drwał na całe gardło. – I tak nas nigdy nie złapie za jaja... Jest za mały kutas, aby to zrobić, rączki ma za krótkie – parsknął śmiechem i sięgnął w kąt kontenera. Odsunął jakąś deskę i wyciągnął zza niej pełną plastikową butelkę.

– To trzeba opić! – Spojrzał na kapitana, oczekując na jego przyzwolenie. Widać było, że to nie jest poza z jego strony, ale konkretna propozycja. – Tylko po kieliszku – zastrzegł od razu.

– Na głodniaka? – zdziwił się kapitan. – Skręci was po paru minutach...

– Przepraszam – wtrącił się nieśmiało szeregowy Rover. – Byłem w DiFAC-u i pozwoliłem sobie przynieść parę kanapek... Tak na wszelki wypadek, jakbyście późno wrócili... Dużo tego nie ma, ale na zagryzkę dla każdego starczy.

– Pierdzielone ochlapusy – stęknął z niedowierzaniem kapitan kręcąc głową. – I z kim ja muszę służyć? Po pięćdziesiątce i do łóżek. Jutro o siódmej jedziemy do Al Ghammas, musimy pobrać amunicję i prowiant na cztery dni. Trochę tam zabawimy...

– A po jaką cholere nas tam wysyłają? – zainteresował się Jacho. – Coś się tam dzieje?

– Mamy sprawdzić jeden z posterunków policji – wyjaśnił cicho Gecco, podając pierwszy kieliszek kapitanowi. – Podpadli naszym ludkom z kontrwywiadu i nasi przetrzepali ich dokumenty. W porównaniu z innymi posterunkami mają zbyt wielu zatrudnionych policjantów, dużą wśród nich rotację i cały czas zgłaszają utratę broni podczas akcji. W ogóle coś tam śmierdzi. Jutro w czasie jazdy wszystko wam wyjaśnię, a teraz po kieliszku, zagryzka i do łóżka... – zadysponował. – Jutro zaczynamy skoro świt...

– Kurwa, zjadłbym coś konkretnego... – zauważył Zorgi pochłaniając kolejną kanapkę. – Od tego foliowanego żarła nie mogę pozbyć się sraczki...

Komenda policji nie wyglądała tak jak powinna, chociaż będąc w Iraku prawie miesiąc, nie spodziewali się chyba niczego innego. Trzypiętrowy budynek położony przy niewielkim placu na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic miasta, niedaleko most nad niewielką rzeką, a wkoło pełno jednopiętrowych budynków niepamiętających, kiedy ostatni raz je remontowano. I tak dobrze, że ktoś pomyślał zawczasu i postarał się, aby wszystkie domy wokół komendy w promieniu pięćdziesięciu metrów zostały zrównane z ziemią, dzięki temu można było z dachu pilnować, aby nikt niepożądany nie mógł niepostrzeżenie dostać się na odległość rzutu granatem. Sam budynek był

ponury, otoczony setkami worków z piaskiem i betonowymi płytami, które zabezpieczają dojazd przed pojazdami samobójczymi, opatulony wszechobecnym drutem kolczastym, częściowo zamurowanymi oknami na parterze i piętrze. Pozostawiono niewielkie okienka, z których na wszelki wypadek wystawały lufy karabinów maszynowych, a na dachu można było dostrzec wzmocnione punkty obserwacyjne i policjantów w kamizelkach, którzy pilnowali tego wszystkiego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To samo było na dole. Zanim dojechali na miejsce, minęli dwa wzmocnione posterunki tuż przed budynkiem. A przed miastem opuszczony check-point, obwarowany punkt kontroli pojazdów, który według ich informacji był wspólnie obsadzony przez żołnierzy i policjantów irackich. Teoretycznie był cały czas oznakowany jako działający, ale wyglądał tak, jakby od co najmniej dwóch dni nikt na nim nie widział żadnego sprawdzającego. Złożyli odpowiedni meldunek przez radio, ale oficer ze sztabu dywizji stwierdził, że na pewno pomylili drogi, bo według zapewnień Irackiej Nowej Policji, punkt kontroli pojazdów działa bez żadnych utrudnień.

– Zapowiada się niezła rozróbka – skwitował beznamietnie Jacho, poprawiając okulary na hełmie i sprawdzając magazynki. Wyczuł spojrzenie Leńczyka, bo puścił do niego oko i lekko uderzył go w kamizelkę. – Nie martw się, u nas to zwyczajne, jak u innych pierdnięcie. Zawsze wysyłają nas tam, gdzie coś się dzieje. Trzymaj się nas i wszystko będzie w porządku... – zapewnił, poprawiając się na siedzeniu.

Jechali czterema drużynami, w sumie trzydziestu żołnierzy i sześć pojazdów, jeden HMMWV, dwa tarpany, jeden BRDM, Star, który pełnił wszystkie możliwe funkcje i nigdy niewprowadzony na stan drużyny UAZ, którego kiedyś wypatrzyli ludzie z poprzedniej zmiany i doprowadzili do stanu używalności. Co prawda był najslabiej opancerzony z nich wszystkich, ale silnik miał mocny i tylko to się liczyło.

– Niezła twierdza... – zauważył Zorgi, wysiadając z samochodu i prostując nogi. Chwilę później z budynku wyskoczył jakiś wysoki, starszy Irakijczyk w pełnym

uzbrojeniu i szybko ruszył do kapitana, na wszelki wypadek rozglądając się bojaźliwie wkoło. Widać było, że nie czuje się tu całkiem pewnie i bezpiecznie. Nie szedł wyprostowany, ale lekko zgarbiony, jakby chciał być jak najmniejszym celem. Przywitał się i wskazał, gdzie mają ustawić swoje pojazdy, notabene obok dwóch policyjnych Toyot Hilux, które były także ulubionymi samochodami terrorystów. Kapitan ruszył za Irakijczykiem, ponaglaając pozostałych dłonią, aby szli za nim. Na wszelki wypadek Leńczyk zerknął na swoich kolegów i tak samo jak oni trzymał palec na spuście. Minęli ostatni posterunek za workami przy wejściu, skąd obserwowali ich zdeorientowani kontrolą policjanci. I już byli wewnątrz. To, co od razu rzuciło się w oczy, to totalny bałagan i nieporządek. Kawałki tynku leżały na podłodze, tak samo śmieci, których nikt nie sprzątał i nie można było dostrzec żadnego sensu w działaniu policjantów. Wyglądało na to, że każdy jest zadowolony z tego, co w tej chwili robi i nie przejmuje się tym, co robią inni. Choć prawdę mówiąc, wszyscy robili to samo, czyli siedzieli w kucki na podłodze lub resztkach krzeseł i czekali, kiedy będą musieli podejść do dziury w oknie i sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. A dopóki nikt do nich nie strzelał, cieszyli się z tego co mieli i nie zamierzali utrudniać sobie pracy. Nigdzie nie było widać żadnego biurka, żadnych papierów, żadnych interesantów. Wszyscy zachowywali się tak, jakby przypadkiem znaleźli się tym domu i jedyne co ich interesuje, to wytrzymać w nim tak długo, jak się uda. Część z nich nie miała nawet na sobie mundurów, tylko naciągniętą na cywilne ubrania opaskę z arabskimi robaczkami. Dobrze chociaż, że wszyscy nosili je w tym samym miejscu, czyli na lewym przedramieniu.

Mężczyzna, który przywitał ich przed komendą, okazał się komendantem policji i starał się na każdym kroku pokazać im, jak bardzo się cieszy z ich przyjazdu, cały czas głośno powtarzając chyba jedyne słowa, jakie znał po angielsku:

– Fantastic! My friend! Fantastic!

Trochę mu mina zrzędła, gdy w końcu zrozumiał, że nie jest to wizyta kurtuazyjna, ale zostaną tutaj kilka dni i spróbują im pomóc we właściwej organizacji pracy komisariatu. Co do obiecaney pomocy, był nawet bardzo zadowolony i od razu zaproponował, żeby podjęli się ochrony punktu kontroli pojazdów, który po drodze mijali. Jak się okazało, ich informacje były prawdziwe: punktu od dwóch dni nikt nie obsługiwał. Przyznał też od razu, że nie zgłaszał tego faktu swoim szefom, bo obawiał się, że ktoś na górze wyciągnie mylny wniosek, że nie jest na tyle operatywny, aby załatwić to we własnym zakresie. Teraz, gdy ma do swojej dyspozycji nasz pluton, uważał swój problem za rozwiązany. Leńczyk nie bardzo zrozumiał co mu odpowiedział tłumacz, który był razem z nimi, ale chyba nie było to nic, co nadawałoby się do tłumaczenia, bo Wilk stojący za kapitanem z trudem zachował obojętny wyraz twarzy. Rover wtedy właśnie się zorientował, że nie bez powodu Wilk stara się przebywać w pobliżu tłumacza: sprawdza, czy ten dobrze spełnia swoje zadanie.

Sprawą najważniejszą okazało się przygotowanie miejsca dla nich na tych kilka dni, które zamierzali spędzić w komendzie policji. Z trudem doszli z komendantem do porozumienia, że nie ma mowy, aby przebywali w check-poincie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, i wbrew jego sugestiom postanowili, że zajmą do swojej dyspozycji ostatnie piętro w komisariacie. Choćby dlatego, że i tak nie było wykorzystywane przez policjantów, którzy wyraźnie preferowali parter. Jedyne całe biurko, stalowa szafa pancerna i komputer stały oczywiście w gabinecie komendanta posterunku, ale jak się szybko okazało, komputer od bardzo dawna spełniał wyłącznie rolę dekoracji, bo do użytku się nie nadawał. Właściwie można go było wyrzucić na śmieci, ale najpierw trzeba by go zdjąć ze stanu, a tego nie mogli uczynić bez pozwolenia z biura gubernatora.

Piętro wyglądało na totalnie zdewastowane i zagracone. Nie docierały tam woda i gaz. Prąd był tylko wtedy, gdy włączali mały agregat, ale wtedy robił się taki hałas,

że nie słyszało się tego, co mówił kolega stojący dwa metry dalej. Wyglądało na to, że wszystko co pozostało na przydzielonym piętrze, jest zepsute albo nie nadaje się już do naprawy. Takie rzeczy po prostu wynoszono na ostatnie piętro i porzucano bez zbędnych sentymentów. Trochę to trwało, zanim na tyle opróżnili pokoje, aby można było się w nich rozgościć. Przy okazji wyrzucania śmieci w jednym z opuszczonych pomieszczeń odkryli kilka pocisków moździerzowych, co niezmiernie ucieszyło komendanta. Natychmiast kazał je znieść do magazynu z bronią. Według kapitana bardziej logicznym wyjściem było przeniesienie ich na dach komisariatu, gdzie znajdowało się stanowisko moździerza, ale nikt nie chciał podważać rozkazu komendanta.

Mówiąc ogólnie, komenda wyglądała tak, jakby wybudowano ją w stanie surowym, później nawet pewne pokoje wykończono, ale z nieznanym nikomu powodów nagle przestano się nią zajmować. Większość pomieszczeń stała pusta, brakowało w nich drzwi, posadzek i niektórych okien, o szybach nie wspominając. Wszędzie odpadały tynki, wychodziły mokre plamy po niesprawnej kanalizacji, ale nikomu to nie przeszkadzało i każdy starał się zagospodarować w swoim kącie. Według informacji komendanta budynek przedstawiał się dawniej całkiem dobrze, ale po wojnie został zdewastowany i od tamtej pory brakowało funduszy na jego remont. Wyglądało, że wszyscy są z tego zadowoleni, a policjanci uśmiechali się do nich przez cały czas, pokazując w większości swoje zepsute zęby. Uśmiech uśmiechem, ale doskonale zdawali sobie sprawę, że nie mogą na tym bazować i muszą sami zadbać o swoje bezpieczeństwo. Aby zabezpieczyć się dodatkowo, kapitan kazał sierżantowi Gecco znaleźć sposób, aby nikt spoza plutonu nie miał dojścia do pomieszczeń, które zajmowali. Oczywiście nie dotyczyło to sytuacji, gdy przebywali w jednym pokoju z policjantami, choć zawsze jeden z żołnierzy musiał uważać na to co się dzieje za plecami pozostałych. Maksimum bezpieczeństwa na ostatnim piętrze oznaczało jedno: pozostawiono wolne przejście prowadzące na dach

budynku, a pozostałe pomieszczenia zostały odgrodzone od korytarza zasiekami z drutu lub zastawione zniszczonym sprzętem, którego nie można było pokonać niezauważenie. Dodatkowo na korytarzu ustawiono wartownika, który miał obserwować wszystkich znajdujących się na korytarzu.

Przez chwilę mieli wątpliwości, czy ich działanie zostanie właściwie zrozumiane przez policjantów, ale szybko przestali się tym przejmować, gdy komendant przyznał się kapitanowi, że on sam na noc w podobny sposób barykaduje się w swoim gabinecie.

– Służba państwu wymaga wyrzeczeń... – przetłumaczył jego monolog iracki tłumacz, co Wilk potwierdził zauważalnym skinieniem głowy. – Ale człowiek musi sam dbać o swoje życie, a w kraju ogarniętym wojną do nieszczęścia wystarczy chwila nieuwagi.

Szeregowy Leńczyk, jako najmniej doświadczony, dostał rozkaz, aby na każdym kroku towarzyszyć kapitanowi i Wilkowi, który wyraźnie pilnował, co przekazuje dalej tłumacz. Wyglądało to dość dziwnie, bo wszędzie chodzili w czwórkę, choć dzięki temu bez żadnych problemów mogli poruszać się po całym posterunku i wszystko sprawdzić. Reszta żołnierzy nie miała już takiej swobody i poza drużyną, która pełniła z policjantami służbę, cały wolny czas spędzała na przydzielonym piętrze, przygotowując je do kilkudniowego zamieszkania.

Godzinę później komendant posterunku zaprosił ich ponownie do swojego gabinetu, który – jak się teraz okazało – jednocześnie pełnił rolę sypialni i pokoju narad. Od początku też nie ukrywał, że jego podwładni zachowują się jak wojsko, które dba przede wszystkim o swoje bezpieczeństwo. Póki co, nie podejmują prawie żadnym działań przypisanych policji, bo nie mają do tego odpowiednich warunków. W tej chwili interesuje ich tylko, aby zabezpieczyć swoje pozycje, co ogólnie oznacza, że bez powodu nie wychodzą z posterunku, aby nie podpaść tym, którzy tak naprawdę rządzą na ulicach. Komendant Hassan wykorzystał okazję, aby pochwalić

się, że ma za sobą karierę wojskową. Był majorem w pułku czołgów, ale po klęsce Husajna od razu związał się z nowopowstającą policją, bo nie miał zamiaru zrywać z mundurem.

– Wtedy każdy oficer musiał należeć do partii – poinformował bez wahania w odpowiedzi na pytanie, czy należał do dominującej przed wojną partii politycznej. – Tylko że jedni byli w niej aby zasłużyć na zaszczyty i przywileje, a tacy jak ja chcieli służyć ojczyźnie i nic złego nie robili rodakom. Jeżeli chciałeś mieć jakiś wpływ na swój los, musiałeś być w partii.

Wyraźnie się zmieszał, gdy kapitan poprosił go o akta osobowe wszystkich ludzi z komisariatu. Okazało się, że jeszcze wczoraj było pod jego rozkazami stu dwudziestu ośmiu policjantów, dziś może się tylko doliczyć siedemdziesięciu czterech.

– Uciekli, część wzięła wygrozdzenie i poszła do domów zostawić je rodzinie – bezradnie rozłożył dłonie. – Wrócą jutro albo za tydzień... – cały czas się uśmiechał, jakby była to normalna rzecz i nie należało się dziwić. – To ich jedyna praca, wrócą... – zapewniał. – Każdy w kraju potrzebuje pracy i płacy, aby przeżyć...

– Gdzie są ich podania, życiorysy? – kapitan bezradnie przełożył kilka kartek z wykazem nic niemówiących list z gryzmołami w miejscu podpisów. – Zdjęcia?

– Po co? – zdziwił się komendant. – A co będzie, jak posterunek zdobędą bandyci i zabiorą te dane? Wtedy wszystkich czeka śmierć. To niebezpieczne... Muszę dbać o swoich ludzi...

– Dlaczego płacie co tydzień, a nie raz w miesiącu? – nie ustępował kapitan, przerzucając kolejne listy płac. – Przecież w ten sposób robicie sobie dodatkową robotę.

– Taki czas – komendant rozłożył bezradnie dłonie, w czym był chyba najlepszy. – Dziś przyjdą i są z nami, więc im płacę za to, co zrobili. Za tydzień pójda

do domu i wrócą gdy skończą im się pieniądze. W ten sposób oszczędzam dużo pieniędzy dla państwa, płacę za pracę, a nie za to, że z nami są...

– A legitymacje? Gdzie jest ewidencja broni?

– To biurokracja i niepotrzebne utrudnienia – komendant nie był przekonany czy w ogóle warto zajmować jego cenny czas takimi drobiazgami. – To może jest dobre, gdy w kraju jest spokój, ale nie dzisiaj. Teraz mamy rewolucję, tu za dużo papierów jest niepotrzebne. A broń, każdy u nas musi ją mieć. Niebezpieczny czas, nie wiadomo, kto wróg, kto przyjaciel.

– To błąd. Proszę pomyśleć o założeniu magazynu z bronią – próbował go przekonać kapitan. – Kto przychodzi, dostaje broń, spisuje się jej numer, kończy służbę, zdaje broń i wtedy zawsze się będzie wszystko zgadzało.

– To nie u nas – komendanta wyraźnie ucieszyła głupota niewiernego kapitana. – W naszym kraju każdy nosi broń. Policjant musi ją mieć przy sobie, aby miał się czym bronić, gdy niespodziewanie ktoś go zaatakuje. U nas nie jest bezpiecznie, więc musi mieć broń, aby bronić się, gdy idzie po służbie do domu. Chyba nie chce pan, żeby dał się zabić bez oporu?

– Ale cały czas wykazujecie w swoich sprawozdaniach, że ginie wam broń! – zdenerwował się kapitan wskazując na meldunki, których uzbierał się gruby skoroszyt. – Z tego powodu, jeśli wierzyć waszym zapewnieniom, składacie co tydzień zamówienie na kolejnych dwadzieścia sztuk karabinów maszynowych typu kałasznikow. Gdybyśmy podliczyli całą broń, jaką otrzymaliście z naszych magazynów, to wyjdzie, że dostaliście jakieś dwieście, trzysta egzemplarzy. I nawet nie chcę pytać o ewidencję amunicji do nich. Gdzie są te karabiny?

– Dezerterzy zabierają – stwierdził spokojnie komendant, jakby zdziwiony, że oficer może mieć kłopot ze zrozumieniem takiej prostej sprawy. – Przecież nie mogę za każdym chodzić i pilnować, aby przed dezercją oddał broń do magazynu. Ale jak wracają do służby, to uzupełniam im tylko amunicję, bo broń już przecież mają – ani

na moment nie stracił swoistego spokoju ducha i dobrego humoru. – Ja znam ich wszystkich, drugi raz broni im nie wydam, muszą z nią lub inną wrócić.

– Ale gdy zdezerterują, mogą do was strzelać z waszej broni i amunicji – kapitan także miał dużą cierpliwość do prowadzenia rozmowy. – Dziś jest z wami, jutro do was strzela, a za tydzień znowu do was przychodzi i dostaje amunicję. Wtedy znowu może do was strzelać...

– Nie... to niemożliwe... – komendantowi nie spodobał się tok myślenia kapitana.

– Dlaczego niemożliwe?

– Bo to nasi policjanci, oni nie strzelają do nas... – zapewnił.

– To mogą ją, kurwa, sprzedać... – zdenerwował się kapitan.

– Po co? – zdziwił się komendant. – Przecież ja im płacę za służbę.

– Po to żeby mieć więcej pieniędzy – wyjaśnił już spokojniej kapitan, choć widać, że rozmowa, jaką prowadził nie była po jego myśli. – Trzeba zabronić policjantom wychodzić z komendy z bronią. Oczywiście, jeśli skończyli służbę.

– Nie można – spokojnie zaprzeczył komendant. – Policjant idzie odwiedzić żonę, tu niebezpieczne dzielnice, bez broni zabijają. Tu są różne grupy, sunnici, trzeba uważać.

– A co z odzyskaniem? – zainteresował się kapitan. – Znajdujecie broń u zatrzymanych?

– Nie... – przyznał niepewnie komendant.

– Dlaczego? Przecież sami twierdzicie, że każdy tutaj ma jakąś broń. Nikogo nie zatrzymujecie podczas patrolowania ulic?

– Nie... My nie patrolujemy ulic... – z wahaniem przyznał komendant.

– Dlaczego?

– Bo do nas strzelają – komendant był zdziwiony niedomyślnością gościa. – Wszyscy...

– To co robicie?

– Bronimy komendy! – zapewnił jego zastępcę, który do tej pory siedział obok. Po czym płynnie przeszedł na arabski i coś gorączkowo tłumaczył komendantowi.

– No właśnie – poparł go komendant, uradowany wsparciem. – I wystawiamy naszych dziesięciu policjantów do check-pointu, którego pilnują żołnierze z nowej irackiej armii! Sprawiedliwie... Nie ma żołnierzy, zabieramy policjantów... Są, dajemy...

– Dobra... – kapitan miał już dość tej rozmowy. – Czy można tu jakoś zorganizować jedzenie dla żołnierzy, chcielibyśmy zjeść coś innego niż foliowane żelazne porcje.

– Stołówki nie ma, ale jest smażalnia ryb niedaleko. Można załatwić, jeśli lubicie ryby? – popatrzył na nich wyczekująco. Kapitan zerknął na Wilka. Ten przytaknął głową, tak dawno nie jedli ryby, że chyba wszyscy będą zadowoleni.

– Bardzo chętnie... Ile to będzie kosztować? – na wszelki wypadek kapitan wolał być przezorny.

– Nic... – odparł zdziwiony komendant i szybko wyjaśnił: – Oni pomagają mi dziś, ja pomogę im jutro. To proste. Jesteście moimi gośćmi... – coś powiedział do swego zastępcy, który kiwnął potakująco głową i zniknął. Pięć minut później można było zauważyć, jak po cywilnemu wychodzi z komendy taszcząc jakąś skrzynkę na ramieniu i znika w pobliskiej ulicy.

Kwadrans później usłyszeli szereg wybuchów od rzeki. Leńczyk zareagował dość gwałtownie, co tylko wywołało uśmiech zrozumienia na twarzy komendanta Hassana.

– Młody żołnierz – popatrzył na kapitana. – Ty mu powiedz, niech on się nie boi. Tak teraz łowi się ryby w stawie. Granat ogłuszający do wody i tylko wybierasz... Prosto i szybko... Godzina, dwie i będzie obiad.

Widać było, że obaj dowódcy zaczynają się coraz bardziej rozumieć, choć nie bardzo można się zorientować, kto jest lepszym graczem i aktorem. Jeden drugiego uczył słówek w swoim ojczystym języku, komendant Hassan jak zwykle najszybciej przyswajał sobie słowa, których przeważnie nie wypowiada się w obecności kobiet.

Godzinę później rozpoczęła się wielka wyzerka. Kawałki smażonej ryby przypominającej karpia po prostu rozpływały się w ustach. Mieli wrażenie, że jeszcze nigdy nie jedli tak dobrze przyrządzonej ryby. Nie tylko każdy się nasycił, ale jeszcze sporo zostało, bo jakoś każdy z policjantów z niewyraźnymi minami odmówił udziału w uczcie. To było dość zastanawiające, ale Wilk stwierdził, że wszystko jest w porządku i nie mają się czego obawiać, więc robili sobie dokładki. Trzy minuty później Wilk siadł przy Leńczyku i zapalając papierosa uśmiechnął się do niego patrząc, jak ten pochłania ostatnie kawałki ryby i jeszcze na dokładkę wylizuje swoje palce.

– Dobra... – bardziej stwierdził niż zapytał. – Moja babcia robiła podobną.

– Uhm – odparł z pełnymi ustami Leńczyk. – Nigdy nie przepadałem za rybą, ale ta jest przepyszna. Jak oni to robią, u nas karp przeważnie śmierdzi mułem...

– Kosztowała komendanta skrzynkę granatów ogłuszających... – mówił dalej Wilk, zaciągając się dymem papierosowym. – W takiej skrzynce jest osiem granatów, ale wybuchów było tylko sześć – zaznaczył z namysłem. – Brakuje mi dwóch... Jak sądzisz, dlaczego?

– Nie wiem – Leńczyk niepewnie wzruszył ramionami. – Zostawili na później?

– Może tak, a może nie – filozofował Wilk, przyglądając mu się spod hełmu. – Trzeba będzie przyjrzeć się tym Irakijczykom ze smażalni. Układ z komendantem to dla nich niezły interes. Choć może obie strony mogą na tym sporo zarobić.

– Komendant i bez tego ma niezłą forszę za te martwe dusze, które niby służą u niego. Po co mu jeszcze kłopot z handlowaniem bronią? – wtrącił swoje Luzak

rozcągając się w pobliżu. – Ja na jego miejscu bym nie przesadzał. Niech się cieszy z tego, co ma... Za dużo to i świnia nie zje...

– Jak masz trochę, to zawsze pragniesz więcej – odpowiedział Wilk, wstając.

– Wilk – zatrzymał go jeszcze na chwilę Leńczyk. – Nie wiedziałem, że muzułmanie nie jedzą ryb. Słyszałem o wieprzowinie, ale nie o rybach.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo żaden z nich nie chciał. – Leńczyk miał na myśli policjantów, którzy odmówili.

– Jedzą, jedzą... – zapewnił, ale unikał jego spojrzenia. – Nie mów tego chłopakom, ale tych nie chcieli, bo wczoraj na brzegu rzeki znaleziono pięć ludzkich ciał. Podobno były dość mocno napoczęte przez ryby... Może właśnie przez te? – zastanawiał się głośno, odchodząc w stronę drzwi.

Leńczyk przełknął gulę w gardle, spojrzał na ostatni kęs i włożył go sobie do ust. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu będzie miał okazję do następnego tak dobrego posiłku, w końcu był na wojnie i nie mógł wybrzydzać.

O osiemnastej wieczorem komendant Hassan skończył swoją pracę, więc oficjalnie zdjął mundur i przebrał się w tradycyjną arabską dżamalę. Poza tym nic się nie zmieniło, bo swój dom i rodzinę zostawił gdzieś na wschodzie kraju i do miasta sam bez ochrony nie miał zamiaru wychodzić. Pokazał jednak, że także on jest wolnym człowiekiem, który musi mieć czas na relaks. Atmosfera w gabinecie wyraźnie się rozluźniła, mały generator prądu pracował na maksymalnych obrotach. Wszyscy policjanci, którzy akurat nie mieli służby, zgromadzili się w jego gabinecie, gdzie oglądali telewizję, jakimś cudem osiągalną. Nie bardzo było co wybrać do oglądania, ale zawsze to lepsze niż wpatrywanie się w gołą ścianę. Najciekawsze jest to, że Zorgi chodząc z anteną po pokoju, trafiał na jakieś nowe programy, których do tej pory nie odbierali. O dziwo, wszyscy mieli dosyć arabskich informacji o wojnie i krzyczeli głośno, gdy wreszcie na ekranie pojawiła się nie do końca ubrana kobieta.

Nie tylko poruszała brzuchem, ale także śpiewała, więc stwierdzili, żeby już nic więcej nie szukał, bo to im wystarczy. Co kilka minut do pomieszczenia wchodziła kolejna osoba, przynosząc ze sobą herbatę i głośno komentując zachowanie kobiety. Żołnierze nie za bardzo wiedzieli, czy opinie są pozytywne czy negatywne, w każdym razie były głośnie i zaangażowane.

Zachowanie policjantów oglądających telewizję dowodziło, że nie są tu częstymi gośćmi i gabinet komendanta nie był dla każdego z nich tak otwarty i gościnny, jak próbował okazać ich szef. Co jakiś czas słyszeli na zewnątrz serie z automatów lub odgłosy bardziej intensywnych walk ulicznych, ale policjanci twierdzili, że to zwykłe i całkiem niegroźne strzelaniny. Śpiew, szczególnie w języku arabskim miał jedną zaletę: szybko wyganiał z pomieszczenia tych, którzy nie mogli go zrozumieć.

Jak było do przewidzenia, pierwsza noc na posterunku upłynęła w spokoju, nawet warta, którą Leńczyk pełnił przy schodach, była tak nudna, że musiał walczyć sam ze sobą, aby jej nie przekimnąć. Przypuszczał, że gdyby nie oparł się swojej słabości, to następnego dnia mógłby się spakować i wracać do bazy, bo spanie na warcie jest najgorszym przestępstwem, jakiego może się dopuścić wojskowy. Szczególnie teraz, gdy wkoło trwały walki i swoim nierozważnym zachowaniem mógł spowodować na wszystkich niebezpieczeństwo. Najlepszym sposobem walki ze snem było chodzenie po korytarzu, bo gdy tylko przystawał na chwilę i opierał się o ścianę, głowa od razu stawała się ciężka i opadała na pierś. Zapewne to przypadek, ale podczas swojej służby był dwa razy sprawdzany przez kolegów. Na szczęście nie zasnął i nikt nie musiał się na niego wydzierać.

Ranek zapowiadał się rutynowo. Kapitan chciał namówić komendanta Hassana, aby wysłał wzmocniony patrol policjantów na ulice miasta, ale ten uparcie utrzymywał, że nie ma odpowiednio wielu ludzi, aby zaryzykować. Utrzymywał przy tym, że takie pojedyncze rajdy nic nie dają i trzeba by było podjąć bardziej stanowcze

kroki, aby zapewnić miastu bezpieczeństwo. Przestępcy może i na widok wzmocnionego patrolu wycofają się do swoich kryjówek, ale już pięć minut od zniknięcia patrolu za rogiem ponownie będą na ulicy.

– A może jeszcze, nie da Boże, przygotowują zamach na powracających policjantów. To niepotrzebne ryzyko i prowokowanie zła – wyjaśniał spokojnie.

Nie pomogło nawet zapewnienie kapitana, że dopóki tu są, to zawsze w patrolu będzie uczestniczyła jedna drużyna żołnierzy. Na wszystkie propozycje komendant nieodmiennie powtarzał:

– Insza'Allah – po czym rozkładał bezradnie dłonie i pytał mocno zniekształcając angielski: – Po co to nam? Nie mamy odpowiednio wyszkolonych ludzi, nie mamy broni, nie mamy zaplecza. Poczekajmy, wzmocnią nas, wtedy wyjdziemy na zewnątrz. Teraz mamy dbać, aby przetrwać.

I za nic miał przekonywania kapitana, że nie należy siedzieć w budynku komendy, tylko wyjść na zewnątrz i pokazać, że tu są i nie będzie przyzwolenia na łamanie prawa. Najpierw w najbliższej okolicy, a później rozszerzyć krąg działania, przekonać ludzi, że może być tu spokojnie i bezpiecznie, jeśli będą chcieli tego samego. Ani te, ani inne argumenty nie mogły zmienić decyzji komendanta. On swoje wie, ma rozkazy od burmistrza i rady miasta, które mówią jednoznacznie, jak ma postępować. Nie może zabierać broni mieszkańcom miasta, bo to by było jednoznaczne z wydaniem na nich wyroku. – Bez broni będą bezbronni wobec przestępców i różnych gangów – ucinał wszystkie dyskusje.

Około dziesiątej rano w odgłosy normalnej strzelaniny gdzieś w mieście wpłatał się nowy dźwięk – i od razu wszyscy zdali sobie sprawę, że to jest adresowane do nich. Odgłosy strzałów były głuche i z inną intonacją, nawet ktoś niedoświadczony wiedział od razu, że to nie strzały ze zwykłego kałasznikowa. Po chwili doszedł do ich uszu odgłos kul uderzających w ściany budynku i świst rykoszetujących odłamków.

– No to mamy pozdrowienia – skwitował to krótko sierżant Drwał, podrywając się ze swego miejsca i łapiąc za broń. – Nieźle puka.

– Z czego? – wyrwało się Leńczykowi.

– Lekki kaem... RPK... – ocenił Jacho, rozpinając swój futerał i wyciągając ze środka SWD Dragunowa. – Chyba ktoś chce nas zaprosić do zabawy.

– A ja myślę, że to jednak RPD... – wtrącił swoje Gecco naśladując kolegów. – Kto z naszych jest na dachu?

– Czterech z drugiej drużyny... – Zorgi jak zawsze wszystko wiedział. – Mieli mieć oko na okolicę. Mam nadzieję, że nic im się nie stało. Trzecia drużyna ma dyżur na dole, czwarta odpoczywa. Zerkniemy? – spojrzał z nadzieją na sierżanta.

– Dobra, idziemy. Ale uważajcie, nie mam zamiaru nikogo znosić w worku – zastrzegł się pytany i nim ktokolwiek zrobił krok, już zmierzał ku schodom. Jak można było się spodziewać, od razu powstał przy nich korek. Żołnierze chcieli wejść na górę, a tymczasem z dachu w panice zbiegali policjanci, którzy mieli tam dyżur. Nie wyglądali na takich, którzy widząc ich zdeterminowanie pójdą w ich ślady i wrócą na górę. Z dołu doszedł ich wściekły krzyk komendanta komisariatu, który wydierał się na kogoś na dolnych piętrach, po czym usłyszeli odgłos strzelającego karabinu maszynowego na parterze.

– Ciekawe, do kogo strzelają? Przecież z dołu to można, co najwyżej sąsiadom okna osmalić... – zaciekawiał się Drwał, po czym spojrzał na policjantów i jednoznacznie wymownym ruchem dłoni wskazał im, że mają zasuwać na górę albo znikać z jego drogi, bo on nie ma czasu, aby kogokolwiek przepuszczać. Nie wiadomo, co bardziej zadziałało, spojrzenie czy odciągnięty zamek, ale wszyscy zawrócili na pięcie i ruszyli na dach, poganiani od dołu okrzykami Gecco o przyjaźni i braterstwie broni, choć większości wypowiedzianych słów na swoje szczęście nie zrozumieli.

Dach otaczał wkoło solidny murek, do tego zabezpieczony, co wszystkich zaskoczyło, workami z piaskiem. To pozwalało czuć się w miarę bezpiecznie, oczywiście pod warunkiem, że trzymało się głowę na ich wysokości lub jeszcze lepiej – poniżej. Szeregowy Leńczyk nie miał zamiaru udawać bohatera, więc nawet nie wyglądał na zewnątrz. Słyszał odgłosy trafiających w budynek pocisków, choć, jak szybko zrozumiał, większość z nich przelatywała ponad budynkiem. To spowodowało, że uniósł ostrożnie głowę ku górze i wyjrzał zza worków, szukając miejsca, z którego prowadzono ostrzał. Dostrzegł tylko dachy, dachy i nic więcej, a w każdym razie żadnego śladu, który mógłby określić pozycje przeciwnika. Jacho, klęczący obok, powoli i systematycznie przeglądał podejrzone miejsca, w czym pomagał mu celownik optyczny zamocowany na karabinie, ale obserwując wyraz jego twarzy można było wywnioskować, że póki co nie mógł się pochwalić żadnymi efektami.

– Jakież dzieciaki – stwierdził kucając obok niego Zorgi. – Teraz nawet mają kłopot, aby trafić w budynek. Odrzut im lufę podniósł... sieroty.

– Gdzie, skąd? – Leńczyk podniósł się wyżej, aby zobaczyć, o kim mówi kolega i od razu poczuł, jak ktoś łapie go za paski kamizelki i ściąga energicznie w dół.

– A ty co, zdurniał?! – wrzasnął na niego Zorgi. – Gównu strzela, a Pan Bóg kule nosi! To, że nie mają pojęcia o strzelaniu wcale nie znaczy, że możesz swój dumny łeb wystawiać. Na takich porąbanych i przypadkowych strzelców trzeba przede wszystkim uważać. Strzela byle jak i byle gdzie, a kula leci i nie wybiera! Głupi może mieć szczęście, ale na pewno pomożesz swojemu losowi, gdy dodatkowo będziesz nosił nisko głowę. Nie każą ci, nie wychylaj się!

Wreszcie na dachu pojawił się kapitan Młodszy w towarzystwie komendanta posterunku, który wrzeszcząc i klnąc głośno zapędzał swoich ludzi do karabinu maszynowego i rozkazał odpowiadać ogniem. Widząc zdezorientowany wzrok policyjnego strzelca Leńczyk był pewny, że nie przewyższa wyszkoleniem tych, co

do nich strzelają. Przerażony nie orientował się, skąd padają strzały, ale posłuszenie naciskał spust posyłając długą serię gdzieś przed siebie, aby tylko przestano na niego krzyczeć.

– Ten wysoki budynek na jedenastej – głośno zameldował Jacho. – Odległość czterysta metrów, ogień na dachu przy lewym kominie...

– Widzę! – potwierdził głośno kapitan i wskazał cel komendantowi, podając mu lornetkę. – Co tam jest?

– Szkoła... – odpowiedział tamten, ale trochę potrwało, zanim policyjny strzelec dostrzegł dłoń swego komendanta wskazującą mu cel. Skorygował swoją pozycję i ponownie nacisnął spust, nie przejmując się za bardzo, czy na pewno dobrze wycelował.

– Nikogo nie widzę! – zameldował Jacho, skupiony na swojej broni. – Chyba skończyli...

W tym samym momencie usłyszeli nową serię, ale oddaną z zupełnie innego kierunku i kilka kul trafiło w ścianę budynku, sporo poniżej nich. Policjanci z niepokojem spojrzeli na swego komendanta, który był coraz bardziej zły. Jacho szybko przełożył swoją broń w kierunku ostrzału, dostrzegając jeszcze ruch w oknie domu oddalonego kilkanaście metrów za szkołą. Miał za mało czasu, aby czegokolwiek być pewnym, wiedziony instynktem skupił się ponownie na szkole. Prawie w tej samej chwili z obserwowanego przez niego budynku ktoś wypruła długą serię. Pociski uderzyły w mur tuż pod stanowiskiem karabinu maszynowego policjantów.

– Okno, ostatnie piętro, trzecie od lewej... – kolejny meldunek Jacho i dłuższa cisza.

– Widzisz go? – zdenerwował się sierżant Gecco, który wiedział, że na taką odległość to ze swojego Beryla może co najwyżej postrzelać na wiwat. Szansa

trafienia jest podobna do wygranej w totolotka, chyba że ktoś ma wyjątkowe szczęście.

– Granatnik?... – Drwał zerknął na kapitana.

Ten pokręcił przecząco głową.

– Nic z tego panowie, tam mogą być niewinni ludzie... – stwierdził krótko i spojrzał na snajpera. – Jacho, spróbuj go zdjąć.

Szeregowy Leńczyk siedział na tyłku obok Zorgiego za osłoną z muru i worków i przyglądał się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami. Po raz pierwszy uczestniczył w tak długiej strzelaninie. Huku i błysków było mnóstwo, ale gdy nie słyszał rykoszetujących kul i odłamków muru, wydawało mu się, że to kolejne ćwiczenia, podczas których nic złego nikomu się nie stanie. Tak jakby ktoś strzelał do ciebie z kapiszonów lub ślepaków.

– Pusto! Nikogo nie widać! – zameldował Jacho, cały czas wpatrzony w swój celownik. – Chyba uciekli albo zmieniają pozycję!

– Dobra, chłopaki! Pojedziemy ich odwiedzić! – zdecydował kapitan. – Druga drużyna zostaje na miejscu i pilnuje całości, reszta na dół. Czwarta złuzuje trzecią, która pojedzie z nami. Ruszamy!! – podniósł dłoń do góry i zaczął się wyścig w dół po stromych schodach.

Najpierw biegł Gecco, za nim kapitan i cała reszta. Jeśli ktoś myślał, że sierżant Drwał ze względu na swoją posturę odstawał od reszty, to był w błędzie. Biegł co prawda ostatni, ale tuż za Leńczykiem i tak blisko, że ten nie mógł zwolnić ani na moment. Nie musiał się oglądać, aby wiedzieć, że gdyby zwolnił, sierżant wpadnie na niego i nie przejmując się tym, pobiegnie dalej. I na pewno nie będzie próbował wyhamować lub go ominąć.

Po chwili wypadli na zewnątrz, gdzie trzecia drużyna skorzystała z faktu, że miała bliżej do pojazdów i już zajęła miejsce w transporterze opancerzonym. Cokolwiek by to znaczyło, teraz czuli się bezpiecznie i nikt nie mógł ich już stamtąd

wyrzucić. Widać, co znaczy doświadczenie, bo pozostałe pojazdy nie były tak dobrze zabezpieczone jak transporter. Reszta szybko zajęła miejsca w HMMWV i UAZ-ie. Do HMMWV wcisnął się zastępca komendanta policji, który na ochotnika wyznaczony przez swojego szefa, miał teraz robić za przewodnika wycieczki, aby zapewnić im szybki dojazd do szkoły.

Najpierw jechał BRDM, którego kierowca otrzymywał na bieżąco informacje, kiedy i gdzie ma skręcić. Kłopot w tym, że zanim tłumacz zdążył przetłumaczyć natłok arabskich słów zdenerwowanego policjanta, często mijał już właściwy skręt i musiał jechać do następnego. Cały czas tuż za nim trzymały się HMMWV i UAZ, który nie próbował wysunąć się naprzód lub pojechać właściwą ulicą, bo w ten sposób straciłby kontakt z pozostałymi. Wreszcie dostrzegli przed sobą właściwy budynek. BRDM wjechał na pełnym gazie w otwartą na szczęście bramę szkoły i zatrzymał się tuż przed głównymi drzwiami. Pozostałe pojazdy stanęły trochę z tyłu, mając wgląd na trzy boki budynku. Jeszcze nie zdążyły zahamować, a już większość żołnierzy była na zewnątrz. Natychmiast ukryli się za naturalnymi przeszkodami, obawiając się ostrzału, ale na szczęście nikt nie zareagował na ich pojawienie się. Drwał z Leńczykiem przyklekli pod ścianą budynku gotowi w każdej chwili do otwarcia ognia, ale wszędzie panował spokój.

– Słuchaj, Rover, to będzie najkrótsze krótkie wprowadzenie, jakie mogę zrobić – sierżant Drwał wydyszał mu prosto w ucho jednocześnie bacznie obserwując wszystko, co się wkoło działo. – Jest wojna i albo skumasz, albo odwieziemy cię do bazy w worku... Jak wejdziemy do środka i kogoś zobaczysz, to nie patrz mu w oczy, tylko na ręce. To w nich może mieć broń, z której cię zastrzeli. Jak zobaczysz broń, strzelasz bez żadnego sentymentu. Albo ty jego, albo on ciebie. Tu nie ma innej zasady. Jesteś najmłodszy, więc w drużynie idziesz przedostatni. Wchodzimy zawsze w następującej kolejności; ja, Gecco, Zorgi, Luzak, Wilk, Jacho, ty i Aspir. Ty

zabezpieczasz tyły, cokolwiek by się działo z przodu, ty masz oczy w dupie i ochraniasz nasze tyły. Czy to jasne?

– Ta jest – z trudem przełknął ślinę.

– Przed wejściem do jakiegoś pokoju zostajesz przy drzwiach i czekasz, aż ciebie zawołamy lub wyjdziemy na zewnątrz. Nie ruszasz się na krok... choćbyś zobaczył dupę chętną do walenia. Siedzisz w miejscu z palcem na spuście i czekasz na rozkazy. Bez naszego pozwolenia nie możesz nawet drgnąć i przesunąć się o centymetr... – upomniął go. – Uważaj, zaraz ruszamy...

Po drugiej stronie pokazał się akurat sierżant Gecco, który sprawdził, czy wszyscy go widzą i pokazał dłonią, żeby podeszli do niego. Nisko schyleni przebiegli pod ścianą i minęli drzwi wejściowe. Leńczyk zawahał się dostrzegając, że są lekko uchylone, jakby zapraszały do środka. W pierwszym odruchu zwolnił, dziwiąc się, że sierżant nie zauważył tego, ale posłusznie pobiegł za Drwalem.

– Wchodzimy przez okno – wyjaśnił cicho Gecco. – Jedno jest uchylone i jak sprawdziłem, nie ma tam żadnej niespodzianki. Idziemy jak zwykle... – zatrzymał wzrok na Leńczyku. – Tak się zastanawiam, Rover? Czy nie zostawić cię dzisiaj na zewnątrz...

– Idzie z nami – wszedł mu w słowo Drwal. – Wie, co ma robić. Pora, aby zaczął się uczyć, przecież i tak nie mamy możliwości, aby z nim trenować. Będzie co ma być.

– No dobra... – zgodził się z wahaniem Gecco. – Idzie z nami kapitan, będzie szedł jako trzeci. Każdy wie, co ma robić?

Spojrzeli na siebie z uwagą i skinęli głowami, jakby potwierdzali odbiór rozkazu.

– A dlaczego wchodzimy oknem? – szeregowy Leńczyk miał wątpliwości, tym bardziej, że znał prostszy sposób. Wskazał dłonią za siebie. – Drzwi wejściowe są otwarte.

– Rover... – Gecco spojrzał na niego z naganą. – Jesteś tu nowy i za mało jeszcze wiesz, aby zabierać głos. Zaufaj starszym, wtedy dłużej pożyjesz! Nie filozofuj.

Skarcony szeregowy bezradnie rozłożył dłonie i posłusznie poszedł na koniec zespołu zastanawiając się, po co chcą robić takie przedstawienie, skoro można to zrobić prościej. Na wszelki jednak wypadek wolał przemyślenia zostawić dla siebie, aby nie narazić się na drugą reprymendę.

Do okna przystawiona była drewniana paleta i stara opona, dzięki czemu szybko i bez kłopotów znaleźli się w środku. Dalej wszystko potoczyło się już klasycznie. Drwał i Gecco tworzyli zgrany, rozumiejący się duet, a kapitan i Zorgi szli tuż za nimi, też niczego nie zostawiając przypadkowi. Drwał sprawdzał każde kolejne drzwi i jeśli były zamknięte, jednym uderzeniem nogi powodował ich otwarcie, po czym cała czwórka wchodziła do środka. Reszta posłusznie zostawała na korytarzu, a Leńczyk zgodnie z rozkazem cały czas sprawdzał, czy za nim nie dzieje się nic podejrzanego. W ten sposób doszli do głównego wejścia i na chwilę przystanęli.

– Rover! – głos sierżanta Gecco podział na niego jak prysznic. – Chodź i zobacz te swoje otwarte drzwi!

Zgodnie z rozkazem szeregowy przeszedł naprzód i mógł się osobiście przekonać, do czego namawiał pozostałych kolegów. Do drzwi przymocowano granat odłamkowy, można było dostrzec cienki stalowy drut przyczepiony jednym końcem do futryny, a drugim do zawlecзки. Gdyby ktoś pchnął mocniej drzwi, automatycznie granat opadłby w dół i drut wyciągnął zawleczkę powodując wybuch. Leńczyk nie musiał zbyt długo się zastanawiać nad oceną, ilu żołnierzy miałoby szansę przeżyć, gdyby próbował tędy przechodzić zespół ośmiu ludzi. Może jeden, ostatni z nich wszystkich, ale ci, którzy by weszli przed nim, raczej nie mieliby takiego szczęścia.

– O kurwa... – wyrwało mu się. – Przepraszam, nie spodziewałem się...

– No myślę – uspokoił go Zorgi, uważnie lustrując drzwi. – Sprawdzam, czy to jedyna niespodzianka, jaką nam przygotowali – wyjaśnił, dostrzegając jego zdziwione spojrzenie. – I pamiętaj, następnym razem, jak ktoś będzie cię zapraszał w odwiedziny w podobnej sytuacji, nie wchodź do niego głównym wejściem, bo możesz się zdziwić. W porządku... – skinął głową do Gecco i szybko zdjął niespodziankę z drzwi. – Masz, Rover, na pamiątkę... – wręczył mu granat. – Zabezpiecz go później taśmą, tak na wszelki wypadek i nie chwal się przy saperach, bo ci go zabiorą – parsknął śmiechem, ale od razu spoważniał napotykaając surowy wzrok kapitana.

– Dobra, panowie, dość zabawy. – Kapitan klęczał za filarem zerkając z niepokojem w głąb holu szkoły. – My tu gadu gadu, a mamy jeszcze sporo roboty. O ile znam się na budownictwie, to poza tymi głównymi schodami muszą być jeszcze jedne – awaryjne. Podejrzewam, że są gdzieś tam... – wskazał na drugi koniec korytarza, który jeszcze nie został przez nich sprawdzony. – Dzielimy się na dwie grupy i każda idzie swoimi, spotykamy się na piętrze. Więc uważajcie i nie strzelajcie do siebie. Na górze sprawdzamy każdą klasę i drzwi, ale uważajcie... – skinął głową wskazując na zmieszanego szeregowca Leńczyka. – Skoro przygotowali nam takie powitanie, coś podobnego może na nas czekać w środku. Jeśli zauważycie coś podejrzanego, to nie wchodzimy na chłama, czyli ulubionym sposobem Drwala, tylko klasycznie. Zrozumiano?

– Uczy ślepy kulawego, jak szybko ma uciekać – zauważył cicho sierżant Gecco, zerkając na pomówionego przyjaciela. – Ja, Drwał, Wilk i Rover idziemy awaryjnym... – zdecydował szybko, unikając zirytowanego spojrzenia, jakie posłał mu kapitan. – Powinno już być pusto, ale nigdy nie będziemy pewni, dopóki tego nie sprawdzimy. Dajcie nam pięć minut na sprawdzenie tych sal po drugiej stronie holu...

Każde kolejne drzwi były traktowane podobnie, czyli sposobem Drwala. Może i zbyt ostro, bo później nadawały się już tylko do wymiany, ale zawsze lepiej było je lekko uszkodzić niż narazić siebie na niebezpieczeństwo. Korzystając z faktu, że nikt im nie siedział na plecach, w taki sposób sprawdzili wszystkie kolejne pomieszczenia, nie omijając pokoju nauczycielskiego i dyżurki woźnego. Sądząc po warstwie kurzu na podłodze, nie wszystkie były wykorzystywane do nauki, a jeżeli, było to dawno temu. Po rebeliantach nie zostały żadne ślady, wszędzie było pusto i cicho, jakby nikt stąd nie strzelał, a oni pomylili budynki. Gdyby nie granat zawieszony w drzwiach wejściowych mogłoby się wydawać, że wszystko to jakiś nierealny sen, przywidzenie lub ich wybujała fantazja.

Im wyżej wchodziła, tym szkoła wyglądała mniej ciekawie. Coraz więcej okien bez szyb, ściany w stanie wskazującym na bezmyślne zniszczenie, dziury po pociskach, próby podpaleń, ławki uszkodzone i pozbawione blatów. Przed wejściem do kolejnego pomieszczenia następowała chwila spokoju i wtedy musieli się wzajemnie zmotywować, aby wejść do akcji z odpowiednią adrenaliną. Krzyczeli do siebie, przybierali groźne pozy spoceni z wrażenia i wysiłku... a później każdy z nich wpadał do środka i wykonywał błyskawicznie polecenia swojego dowódcy, wiedząc, że to od tego zależy ich życie.

Wreszcie dotarli na drugie piętro. Kapitan z drugą grupą skierował się w stronę schodów na dach, podczas gdy Gecco poprowadził swój oddział w kierunku narożnej klasy, z której do nich strzelano. Trochę to trwało, bo po drodze musieli otworzyć i sprawdzić pokój. Tuż przed sprawdzeniem tych właściwych mogli pozwolić sobie na chwilę spokoju, choć dawniej podśmiewywaliby się z takiego odpoczynku. Kucnęli skuleni pod ścianą, spoglądając na siebie z uwagą, niby uśmiechając się, ale widać było, że są zdenerwowani. Z jednej strony zadowoleni, że nigdzie nie widać przeciwników, z drugiej strony niepewni, czy na pewno nie zostawili za sobą jakiejś niespodzianki.

– Dobra, chłopaki – szepnął Gecco, lekko się prostując. – Jeszcze ten pokój i będziemy mieli to z głowy. Wchodzimy wszyscy, Rover idzie na samym końcu i pilnuje prawej strony. Nie podchodzić do okien, bo może ktoś na to właśnie czeka. Uwaga! Trzy, dwa, jeden! Wchodzimy!

I znowu było dokładnie tak samo jak do tej pory. Drwał kopnął w drzwi, które albo się szeroko otworzyły, albo pękły gdzieś na łączeniu. Zanim jeszcze zdążyły opaść na podłogę, już do środka wskoczył skulony Gecco, a lufa jego broni łagodnie płynęła z prawej strony do okna. Drwał stanął tuż za nim i robił dokładnie to samo, ale od lewej strony do okna. Nie było możliwości, aby ktoś w środku nie trafił pod ich lufy.

Było cicho i nikt nie strzelał. Po chwili wszyscy znajdowali się w pokoju, prawie na środku pomieszczenia. Jakaś połamana ławka przysunięta do okna, na niej rozrzucone puste łuski po pociskach, ale nigdzie ani śladu ludzi. Wilk sprawdził lewą stronę w obrębie godzin szósta – dziesiąta, szeregowy Leńczyk od drugiej do szóstej. Drwał z Gecco patrzyli na wprost i teraz tylko to ich interesowało. Wiedzieli, że pozostali są tuż za nimi i mają obowiązek zabezpieczyć ich tyły, z tej strony nic nie powinno im zagrażać. To obowiązek innych...

Leńczyk był już trochę zmęczony, nie spodziewał się, że podczas sprawdzania pomieszczeń będzie musiał cały czas chodzić na lekko przygiętych kolanach i skulony. To nie jest pozycja, która pozwala odpocząć i zapomnieć o towarzyszącym mu całym czas napięciu. Mięśnie nieprzyzwyczajone do tego rodzaju pracy coraz bardziej bolały, odmawiając dalszej pracy, sztywniały i drętwiały. Pot spływał mu spod hełmu i zalewał oczy, dostawał się pod powieki i piekł, powodując kłopoty ze wzrokiem. Nie miał możliwości, aby obetrzeć twarz, dać odpocząć oczom, bo byłoby to jednoznaczne z oderwaniem ręki od broni. To niepotrzebne oddanie inicjatywy przeciwnikom i proszenie się samemu o kłopoty. Na szczęście rozumiał, że nie ma szans na otwarcie celnego ognia, gdy broń trzyma się w jednej dłoni, więc nie

puszczał jej i choć pot piekł go w oczy, starannie wpatrywał się w przydzielony sektor. Teraz już rozumiał, że to co wcześniej brał za pozerstwo starych wiarusów wobec takiego naiwniaka jak on, nie ma z tym nic wspólnego. To doświadczenie, z którego powinien jak najwięcej skorzystać. Dlatego już nie będzie się uśmiechał widząc na ich czołach dodatkowe chusty lub rękawiczki na dłoniach, choć na zewnątrz świeci słońce. Każde z nich ma swoją dodatkową rolę, jedna ma wchłonać pot z czoła i twarzy, druga zapobiec ślizganiu się spoconych rąk na metalowych częściach broni. Teraz wydaje się to proste i jasne, ale przed akcją był pewny, że to tylko poza starszych kolegów wobec nowicjusza. Pinky, jak go nazywali złośliwie między sobą. Pokazanie, że jest szczawiem i musi się jeszcze dużo nauczyć, zanim im dorówna. Jeśli będzie miał szansę przeżyć tak długo.

Jego wzrok zatrzymał się na matowych szklanych drzwiach dużej szafy stojącej za nim pod ścianą. Nie był pewny, dlaczego poczuł niepokój, ale gula rosnąca w gardle miała swoją wymowę i z coraz większym przerażeniem wyteżał wzrok, próbując zobaczyć, co jest w środku. Mrugał powiekami, bo wydawało mu się, że dostrzega za szybą zarys postaci. W pierwszej chwili chciał zawołać Gecco, wskazać mu zagrożenie, ale prawie w tej samej chwili pojął, że nie ma na to czasu. Wszystko nastąpiło jednocześnie: opadł na prawe kolano, płynnym ruchem naprowadził lufę swojej broni na sylwetkę schowaną w szafie i powoli nacisnął spust. Ponieważ wcześniej nastawił przełącznik na pojedyncze strzały, padł jeden. O dziwo, celny. Pękła rozdzielająca ich szklana tafla, więc dostrzegł tkwiącą w środku białą sylwetkę. Bez chwili na zastanowienie kciukiem przełączył ogień na serię i opuścił odruchowo lufę na korpus, który, jak przekonywał go Zdanek, jest łatwiejszy do trafienia niż głowa. I wcisnął spust do oporu, starając się za wszelką cenę nie pozwolić, aby poderwało mu lufę do góry.

Szeregowy dostrzegł jeszcze wirujące białe kostki w powietrzu, opadającą na dno szafy rękę, rozwaloną czaszkę toczącą się po podłodze i sporo białego kurzu

wylatującego z szafy. Pozostali na odgłos wystrzału zareagowali błyskawicznie, choć już pierwsze ich spojrzenia pozwoliły stwierdzić, że ich pomoc nie jest już potrzebna. Wilk na wszelki wypadek przesunął lufę swej broni, po czym... parsknął głośno śmiechem. Po chwili do ogólnej wesołości dołączył rechot sierżantów Gecco i Drwala, co już całkiem wybiło Leńczyka z równowagi.

– Co was tak śmieszy? – zdziwił się, wpatrując się z przerażeniem w szafę. – Przecież, kurwa, ktoś tam był.

– Spokojnie, Rover. Już po wszystkim – powiedział uspokajająco Gecco, podchodząc do szeregowego Leńczyka, po czym położył swoją dłoń na jego Berylu i skierował lufą w stronę podłogi. – Trafiłeś go idealnie! – zapewnił z radością w oczach.

– Ustrzeliłeś go! Kurwa! – cieszył się Wilk, z trudem opanowując wesołość, co bynajmniej w jego wykonaniu nie było takie proste. – Będę miał o czym wnukom opowiadać!

– Idealne strzały, załatwiłeś go na amen... – sierżant Drwal nie był już taki taktowny, jak próbował być Wilk. Prawie turlał się na środku pokoju, śmiejąc się coraz głośniej. – Kurwa, nie wiem czy jego mamusia ci daruje! Ale stawiasz piwo za pierwsze celne strzały w swoim wykonaniu... – rechotał coraz głośniej. – I przestałeś być, kurwa, Pinky...

– Gecco! Słyszeliśmy strzały, co się dzieje?! Macie kontakt?! – wszyscy w pokoju usłyszeli zdenerwowany głos Jacho, dochodzący do nich z korytarza. – Kto strzelał?!

– W porządku! To Rover zaliczył właśnie swój chrzest bojowy – odkrzyknął ze śmiechem Gecco, otrzepując się z białego kurzu. – Rover załatwił białasa w biologicznym.

– Jakiego białasa!? – krzyknął Jacho. Słysząc było strach w jego głosie. – Mów, kurwa, jaśniej! Narąbaliście się jakiegoś gówna?

– Nie... Spoko – sierżant Gecco poklepał po plecach speszonego Rovera, dla którego wszystko stawało się coraz bardziej zrozumiałe. – Weszliśmy do gabinetu biologicznego, a w szafie za szybą stał kościotrup z gipsu. Rover myślał, że tam się ktoś ukrył... – z trudem opanował nowy atak śmiechu. – Posłał mu kulkę prosto w głowę, a resztę magazynka umieścił w korpusie. Z kościotrupa zostało tylko kilka całych kostek, reszta jest w stanie bardziej cząstkowym niż była do tej pory i mnóstwo tu teraz kurzu. Poza tym wszystko u nas porządku... a jak u was?

Chyba powiedział to w złej chwili, bo prawie w tej samej chwili usłyszeli odgłos pocisków uderzających w mur szkoły. Na szczęście prawie wszyscy byli już na podłodze i nie musieli się na nią rzucać. Miało to także dobre strony, bo w tej samej chwili nieszczęśliwy szeregowy Leńczyk przestał być obiektem zainteresowania.

– Kurwa, ktoś do nas strzela... – zauważył Gecco, błyskawicznie przesuwając się pod parapet okna. Rover na wszelki wypadek przesunął się na korytarz, aby chronić tyły, ale dobrze słyszał, jak ktoś na górze na dachu klnie i złorzeczy:

– Pierdzielone debile!... Jacho! Powiedz tym durnym ćwokom, że to my jesteśmy na dachu szkoły i niech przestaną strzelać! Brakuje jeszcze, abyśmy zarobili od swoich!

– To zapewne przypadek... – rzekł głośno Wilk, choć wyraz jego twarzy wskazywał na coś zupełnie innego. Byli już na tyle doświadczeni, aby wykluczać takie przypadki, ale nikt tego głośno nie komentował, wymienili się tylko spojrzeniami.

Sprawa wyjaśniła się w ciągu dwóch minut. Policjanci zauważyli podejrzany ruch na dachu szkoły i doszli do wniosku, że rebelianci znowu szykują się do ostrzału, więc na wszelki wypadek postanowili strzelać pierwsi. Jakoś nie mogli pojąć, tak w każdym razie później twierdzili, że ktoś mógł być na tyle głupi, że wszedł do szkoły opanowanej przez terrorystów aby próbować ich ująć. Na szczęście

byli tak podekscytowani, że strzały poszły poniżej dachu i w większości ugrzęzły w murach, więc nikomu nic się nie stało.

Wracali do komendy inną drogą, choć przewodnik upierał się, że tak nie należy postępować. Decyzja należała jednak do kapitana i to on stwierdził, że jak mu się to nie podoba, to może wracać do komendy na piechotę. Na wszelki wypadek kazał wsadzić przewodnika pod pancerz BRDM i pilnować, aby za bardzo się nie rozglądał, co od razu wykonali. Wyglądało na to, że kapitan z sierżantem Gecco dobrze wiedzieli gdzie są i którędy mają jechać, aby obejrzeć ulice, które ich interesowały. Nie wracali do komendy najkrótszą trasą. Co dziwne, dwa razy się zatrzymywali na rogu tej samej ulicy, gdzie kapitan udawał pogrążonego w poszukiwaniu właściwej drogi do komendy, a sierżanci Gecco i Drwał z uwagą przyglądali się najbliższej okolicy, jakby chcieli wszystko sobie zapamiętać. Dalej obyło się już bez problemów i dodatkowe postoje nie były już potrzebne.

Kłopoty pojawiły się dopiero na moście, gdzie niedzielny kierowca przestraszył się niespodziewanie nadjeżdżającej kolumny i swoją nerwową reakcją spowodował, że zgasł silnik w jego samochodzie. Teoretycznie w grę wchodziły dwie możliwości. Pierwsza, że to efekt przypadkowego zbiegu okoliczności. Druga możliwość była gorsza. Mogła to być z wyprzedzeniem zaplanowana akcja, która miała na celu zamach na konwój żołnierzy, a przy okazji uszkodzenie mostu. Dowódca od razu stwierdził, że przejazd konwoju obok stojącego auta, to zbyt duże ryzyko. Aby je zniwelować posłał irackiego policjanta, który im towarzyszył jako przewodnik, aby sprawdził, dlaczego samochód stoi w takim miejscu i postarał się, aby zniknął on z mostu jak najszybciej. Na wszelki wypadek policjanta ubezpieczało dwóch żołnierzy z trzeciej drużyny, którymi dowodził plutonowy Hanys.

Ze względu na możliwość wybuchu szeregowy Leńczyk z Wilkiem przykucnęli przy barierce mostu i z uwagą czekali na rozwój wypadków. Byli gotowi w każdej chwili na otwarcie ognia, gdyby była taka potrzeba, musieli mieć oczy dookoła

głowy i uważać na każde nietypowe wydarzenie. Jednym z nich był wesoły głos młodej dziewczyny lub kobiety, dobiegający spod mostu. Leńczyk zdziwił się, bo zdał sobie sprawę, że zna ten głos... i gdzieś już spotkał jego właścicielkę. Przechylił się przez barierkę i z zaciekawieniem spojrzał w dół. Najpierw zauważył siedzącą na nabrzeżu dziewczynę z nasuniętą na głowie chustą, a obok, na wodzie kołysały się puste kufy. Nie mógł rozpoznać jej rysów, ale ten głos był tak podobny... Mówiła czystym i wesołym głosem, żartując sobie z jakiegoś młodzieńca, który z trudem utrzymywał równowagę na jednej z kuf. Wilk zauważył jego zdziwienie, spojrzał w tym samym kierunku i cichutko gwizdnął.

– Ładna... – stwierdził krótko, przesuwając się bliżej. – Ale dla nas niedostępna. Nawet nic nie próbuj, bo sprowadzisz na nią nieszczęście.

– No co ty? – zachnął się Leńczyk. – Ja ją znam, to Samira. Ona mi pomogła... w tej mojej wyprawie rowerowej... Chcę jej podziękować.

– Nie podchodź do niej... – uprzedził go Wilk, przytrzymując go za rękaw bluzy. – To może być niebezpieczne i nie chodzi mi o ciebie, ale o nią. Tu są inne zasady zachowania wobec kobiet, a takie jawne okazywanie sympatii niewiernemu może na nią ściągnąć kłopoty. A nawet śmierć.

– Co mam robić? Pójść, jakbym jej nie poznał? – denerwował się Leńczyk.

– Możesz zwrócić na siebie jej uwagę, ale nie rób nic, co mogłoby świadczyć, że się znacie. Jak będzie sama chciała, to da ci jakiś znak.

– Ciekawe jak? – spytał z grymasem niedowierzania na twarzy.

– Kobiety zawsze znajdą jakiś sposób, możesz być spokojny. A ty stań przy barierce i oglądaj rzekę, to powinno wystarczyć. Zresztą, staniemy obaj, bo chłopaki dają znak, że samochód jest czysty.

Leńczyk stanął tuż przy barierce i udawał, że przygląda się rzece. Wilk rzeczywiście zajął miejsce obok i coś krzyknął po arabsku do chłopaka, który stanął już bezpiecznie na brzegu. Zauważył, że zaskoczona dziewczyna podnosi głowę i

zerka w jego stronę. Poznała Leńczyka i szybko opuściła głowę, jakby zmieszana niespodziewanym spotkaniem. Wilk w tym samym czasie rozmawiał o czymś wesoło z chłopakiem, który bynajmniej nie ukrywał, że nie jest zachwycony zaistniałą sytuacją. Rozmowa z niewiernym mogła być potraktowana przez jego współrodaków jako zdrada, a wtedy skończy się to źle. Nie mógł do tego dopuścić. Nie chodzi o to, że się czegoś bał, ale po prostu nie chciał ściągać na swoją rodzinę dodatkowych kłopotów. Tym bardziej, że znajdował się w towarzystwie siostry, która przez kilka godzin przebywała sam na sam z jednym z niewiernych, co samo w sobie było już wystarczającą hańbą dla rodziny. Co gorsza, siostra nie bacząc na obecność obcych ludzi odezwała się do niego prosząc, aby wracali już do domu.

Szeregowy był powyżej na moście, więc mógł rodzeństwo obserwować z góry. Dostrzegł, a w każdym razie tak mu się wydawało, jak Samira prawie niezauważalnie poruszyła lewą dłońią schowaną za siebie, jakby chciała go niedostrzegalnie pozdrowić. Następnie tę samą dłoń otworzyła cztery razy, ostatni raz pokazując jednak tylko cztery palce i spojrzała wymownie w górę rzeki. Następnie wstała, lekko skinęła głową i ruszyła w stronę pobliskich domów pociągając za sobą opierającego się młodzieńca.

– No to wszystko wiadomo – stwierdził Wilk, poklepując go po ramieniu. – Ten chłopak to jej brat, a tutaj jest tak głęboko, że można się utopić... – obserwował go uważnie. – A te garnki na wodzie to kufy... oni czymś takim przewożą towary...

– Wiem, płynąłem czymś takim...

– Nie wiem czy zauważyłeś, ale ona coś ci przekazała... – powiedział cicho Wilk idąc za nim w kierunku samochodu.

– Też to zauważyłeś? – przyznał. – A byłem pewny, że to przywidzenie.

– Chyba jednak nie... Dziewiętnaście otwartych palców i wskazany kierunek, to nie może być przypadkowe. Masz chyba umówioną randkę... – zaśmiał się Wilk, po

czym dodał z powagą. – Na pewno sam tam nie pójdziesz i musisz o tym powiedzieć Młodszemu.

– Nawet o tym nie pomyślałem... – zapewnił.

– Powiedzmy, że ci uwierzyłem, Jonasz – dodał bez sensu Wilk, uśmiechając się do swoich myśli.

Na komendę trafili dokładnie w chwili, gdy zmieniały się kolejne ekipy policjantów. Jedni wrócili z check-pointu i organizowali sobie miejsce do spania, a kolejni wracali na noc do komendy, gdzie mogli się czuć bezpieczniej niż w swoich własnych domach. Efekt był taki, że po korytarzach kręciło się mnóstwo ludzi i trudno było się zorientować, który z nich jest naprawdę policjantem, bo większość nie nosiła munduru. Jedynie dowódca oraz jego dwaj zastępcy z punktu ochrony mieli na sobie mundury wojskowo-policyjne i stare, pamiętające jeszcze okres pierwszej wojny irackiej kamizelki ochronne. Były sztywne od brudu i strasznie niepraktyczne. Żeby było śmieszniej, swoim wyglądem bardziej przypominali terrorystów i Gecco wcale nie ukrywał, że nie zdziwiłby się, gdyby się kiedyś okazało, że co najmniej kilku z nich jest poszukiwanych. Co gorsza, część z nich miała twarze zakryte chustami lub naciągniętymi na głowy czarnymi kominiarkami z wyciętymi dziurami na oczy i nos.

Leńczyk, który wszedł jako pierwszy, na ich widok sięgnął odruchowo po broń. Nie był pewny, kogo ma przed sobą, ale na szczęście sierżant Gecco, który szedł tuż za nim, był szybszy i delikatnie go przytrzymał, kręcąc z dezaprobatą głową. On w odróżnieniu od Rovera dostrzegł wśród nich rozradowanego komendanta policji, choć trzeba przyznać, że sytuacja była co najmniej dziwna.

– Hassan, to na pewno twoi ludzie? – zażartował kapitan, patrząc na nich.

– Fantastic, przyjacielu. Fantastic... – Hassan swoim zwyczajem pokazywał cały garnitur swoich zębów. – To moi najlepsi ludzie – zapewnił. – Pilnują punktu kontrolnego na drodze do Bagdadu! Razem z żołnierzami, dwadzieścia cztery

godziny służby, później dzień odpoczynku i znowu służba. Inni nie są tak obowiązkowi... – dodał smutno.

– A te maski? – spytał Gecco podchodząc bliżej. – Można się pomylić i wziąć ich za terrorystów... – dodał dwuznacznie. – Jeden z moich ludzi chciał do nich strzelać.

– Niektórzy boją się chodzić w mundurze, albo z odkrytą twarzą – przyznał speszony komendant i od razu dodał: – Zrozum ich, sytuacja nie jest jeszcze całkiem wyjaśniona, a nikt nie chce niepotrzebnie ryzykować. Każdy ma rodzinę, rodziców, dzieci, żonę, więc po co rebelianci mają się mścić na nich. Z zakrytymi twarzami są nie do rozpoznania, mogą być spokojni o swoich. A po służbie mogą wrócić do domu i nikt nie wie, gdzie oni pracują. To się nam opłaca, bo czasami przynoszą z ulicy ciekawe informacje.

– A w sytuacjach krytycznych mogą odrzucić broń i maski... – dodał od siebie kapitan. – Wtedy z powodzeniem może udawać zarówno cywila, jak i rebelianta. Może nawet strzelać do swoich, aby podnieść swoją wiarygodność.

– Ale nie trafić w swoich... – zapewnił komendant pewnym głosem, co mogło świadczyć, że i takie sytuacje się zdarzały. – Jeśli maska lub chusta na twarzy da mu szansę przeżycia, to tylko dobrze i ja go rozumiem. On do nas wróci i ja mam wtedy doświadczonego policjanta. Takie jest u nas życie... – bezradnie rozłożył ręce. – A jak wam poszło? Złapaliście kogoś? – zmienił temat rozmowy.

– A nie wiesz, kto do nas strzelał? – kapitan wziął go pod ramię i odprowadził dalej, ale i tak czuł, że ktoś ich cały czas obserwuje. – Jak byliśmy na dachu...

– Sorry, przyjacielu – komendant Hassan ponownie bezradnie rozłożył ręce. – Młody policjant, którego nie dopilnowałem. Zobaczył jakiś ruch na dachu szkoły i zanim pomyślał, zaczął strzelać. Rozumiesz, brak doświadczenia... Widzisz, z kim ja muszę pracować? Ale co mogę zrobić? Trzeba pracować dla dobra kraju! – wzruszył ramionami i po raz kolejny zmienił temat. – Dobrze, że wróciliście, bo zaraz będzie

obiad. Będzie do wyboru kuzi lub borjani, nasze narodowe dania z baraniny i ryżu. Z najlepszej naszej restauracji! – zapewnił, na wszelki wypadek mlaskając językiem, aby podkreślić, jakie to jest dobre.

– A ile to kosztowało? – spytał cicho kapitan, przytrzymując go pod ramię. – Znowu skrzynka granatów czy tym razem amunicji?

– Insha'Allah... – odpowiedział zmieszany komendant i szybko odszedł do swojego gabinetu. Tam już czekał na niego przewodnik, aby zdać relację z tego, gdzie byli i co robili. Co prawda nikt im tego nie powiedział, ale byli tego pewni.

Godzinę później wszystko było już ustalone. Na „randkę” pójdą Rover, Wilk, Gecco, Drwal i Aspiryna, który będzie ich ubezpieczał. Kapitan wytłumaczył Wilkowi, jakie ewentualnie pytanie powinien zadać dziewczynie i na czym się skoncentrować. Następnie kazał im odpocząć i działać bardzo ostrożnie, tu nawet nie chodziło o nich, tylko o bezpieczeństwo dziewczyny. Tuż przed wyjściem zatrzymał jeszcze wszystkich na chwilę i zwrócił się do Leńczyka.

– Słuchaj, Rover. Przeżyłeś dziś z nami swoją pierwszą akcję bojową, oddałeś pierwsze strzały i zaliczyłeś pierwsze trafienie... – wszyscy parsknęli śmiechem przypominając sobie, kto był ową pierwszą ofiarą. Śmieli się tym bardziej, że Leńczyk zaczerwienił się jak dziewczyna. – Nie wdając się w szczegóły, ważny dla nas był fakt, że nie popełniłeś żadnego błędu i od tej pory przestałeś być „Pinky”, a stałeś się żołnierzem... Cieszę się, że jesteś wśród nas – zakończył, wyciągając w jego stronę rękę.

– Panie kapitanie, a co to jest te „pinky”? – spytał z wahaniem Leńczyk, zerkając z respektem w stronę chichoczących kolegów. – Bo oni opowiadają niestworzone rzeczy.

– Pinky to nowicjusz... każdy nowy, gdy przyjeżdża na misję, przez pierwsze dwa-trzy tygodnie chodzi opalony na gbie na różowo. Dlatego mówi się na niego

„pinky”, dopiero później zaczyna normalnie wyglądać. I tak było z tobą, do dziś byłeś różowy, od teraz poznasz prawdziwy smak życia misjonarza. Możesz to traktować, jako wstęp do nowego doświadczenia... Wszystko przed tobą, a my postaramy się, abyś nie wspominał źle tego okresu.

Spis treści

Rozdział pierwszy.....	3
Rozdział drugi.....	66
Rozdział trzeci.....	112
Rozdział czwarty.....	168
Rozdział piąty.....	193
Rozdział szósty.....	242
Rozdział siódmy.....	284
Rozdział ósmy.....	326
Rozdział dziewiąty.....	361
Rozdział dziesiąty.....	390
Rozdział jedenasty.....	426
Rozdział dwunasty.....	473
Rozdział trzynasty.....	522
Rozdział czternasty.....	571
Rozdział piętnasty.....	606
Rozdział szesnasty.....	649

Projekt okładki: Monika Pollak, Monika.pollak@wp.pl

Korekta: Tomasz Kwiatkowski

Redakcja: Romuald Pawlak, romekpawlak@gmail.com

Marcin Lasoń

© Copyright by Księgarnia Zdanowicz Kwidzyn 2007

© Copyright by Władysław Zdanowicz

82-500 Kwidzyn ul. Łąkowa 21

E-mail: ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl

www.kwidzyn.osdw.pl

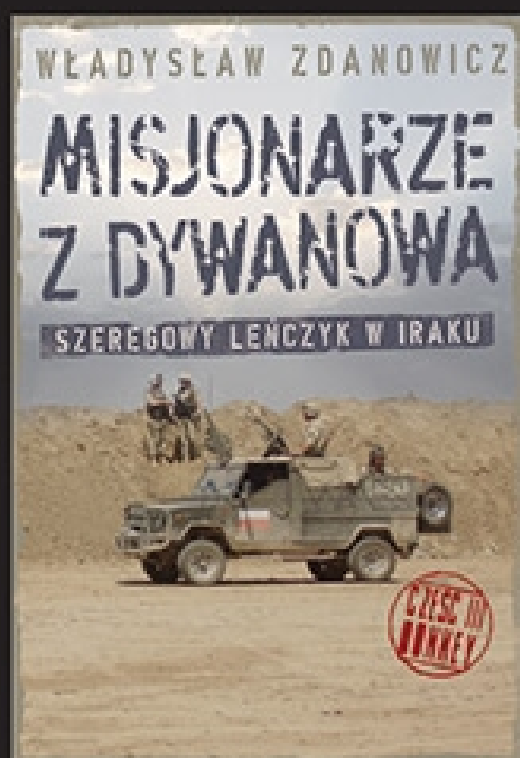
e-wydanie I

łamanie, konwersja i korekta techniczna:

Oficyna wydawnicza RW2010

www.RW2010.pl

korekcja@rw2010.pl



ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl
www.kwidzyn.osdw.pl
www.wladyslaw-zdanowicz.pl

